ROK II Nr. 35 (84) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 31 sierpnia 1930 r.

7 DNI

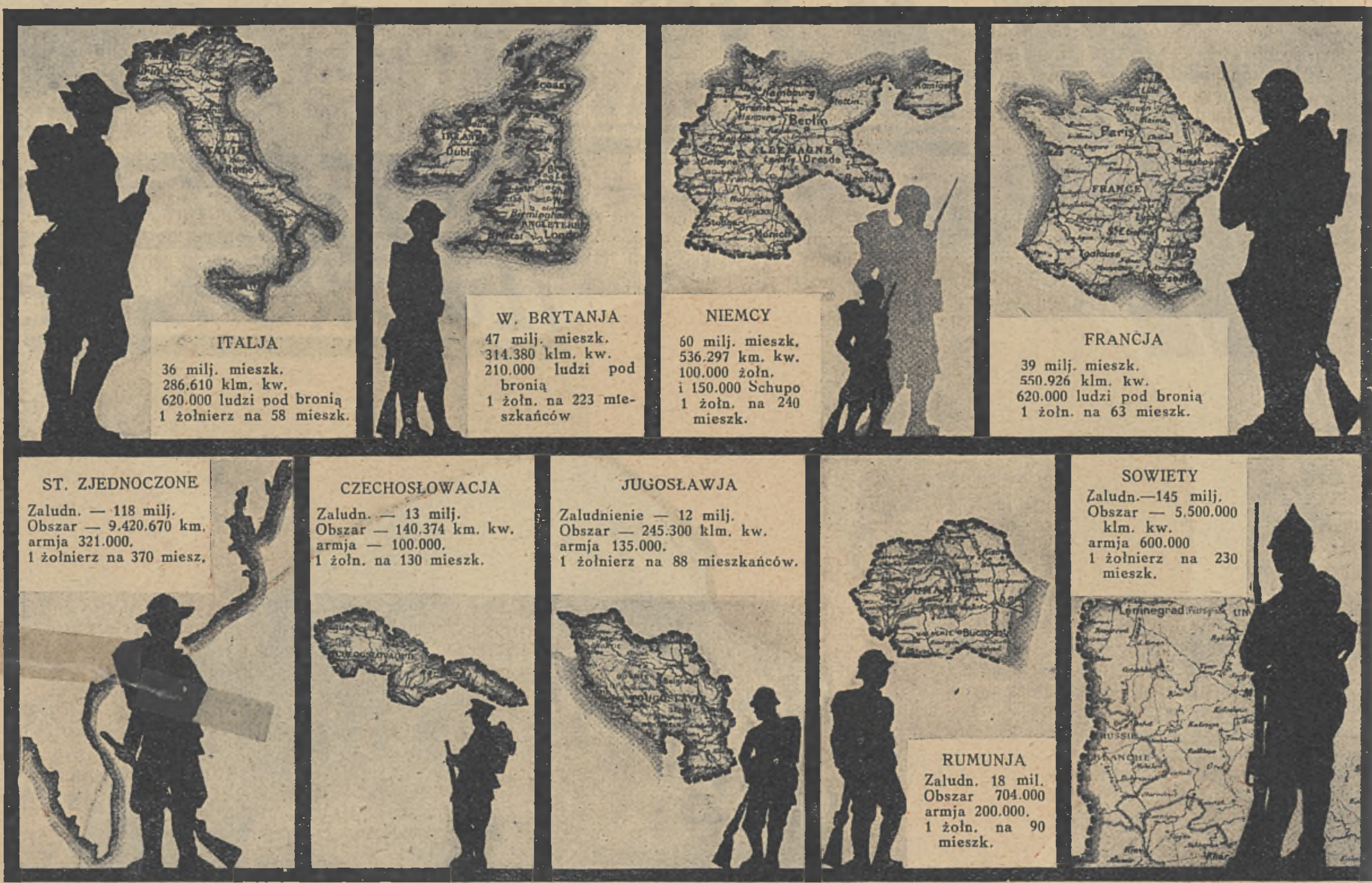
CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



PIĘKNA SENORITA (PARAMOUNT)

UZBROJONY PACYFIZM



Wieczny pokój jest marzeniem, a wojna jest konieczna w porządku świata tak, jak burza dla oczyszczenia powietrze i użyźniania ziemi strumieniami deszczu. W wojnie rozwijają się najlepsze cnoty człowieka: odwaga i zaparcie siebie, wierność, posłuszeństwo z narażeniem życia. Bez wojny utonąłby świat w bagnie materjalizmu.

Moltke.

Jesteśmy w przededniu nowej sesji Ligi Narodów w Genewie. Zwyczajnie, jak co roku o tej porze. I podobnie, jak co roku, i mimo negatywnych rezulatatów, jakie przyniosła styczniowa konferencja rozbrojeniowa — sprawa powszechnego pokoju i rozbrojenia znowu wypłynie na wokandę.

Nieuniknione...

Różnorodne tezy — jak race wystrzelą nad rozpalonemi głowami dostojnych delegatów, a jednocześnie oskarżenia wzajemne, żale, utyskiwania... Ten i ów wspomni o gwarancjach i wstydliwie się zapłoni, gdy mu przerwą uwagą o faktach, które z coraz większą wyrazistością zadają kłam poczciwym teorjom o braterstwie ludów.

Bo i prawda.

Pomijając nawet wystąpienia natury politycznej — enuncjacje italskie lub niemieckie — które od czasu do czasu, jak czarna chmura nawisają nad horyzontem (na złość p. Briandowi *et consortes!*) mamy tu do czynienia z bezsprzeczną prawdą, iż sprawa gwarancji trwałego pokoju, a zatem i powszechnego rozbrojenia, zależy od zrównania energji demograficznej (siły rozrodczej) ludów i ograniczenia ich ekspansji gospodarczej. Od tej „drobnostki“ zależy urzeczywistnienie teorji pacyfistów. A kto nie wierzy — niechaj raczy spojrzeć na garść zestawień, z których jasno wynika przedewszystkiem, iż zgodnie z naszem założeniem inicjatorzy paktu Kelloga — Amerykanie, dążący z palmą pokoju w ręce do hegemonji nad całym światem, najwięcej poświęcają środków na uzbrojenie i z pewnością okażą w razie międzynarodowego konfliktu największą gotowość bojową.

Wiedzą o tem ci wszyscy, co długiemi i zawiłemi przemówieniami wzajemnie odurzają się na przewlekłych konferencjach, a że to czynią — trudno, *c'est leur métier...*

Najbardziej przekonywujący argument dla uzasadnienia naszych rozważań znajdziemy w analizie stanu rzeczy u Niemców, względem których zastosowano pod przymusem jaknajdalej idące ograniczenia.

Zgodnie więc z art. 160 traktatu wersalskiego armja niemiecka — Reichswehra, została ograniczona do liczby 100.000 ludzi (7 dywizji piechoty, 3 dywizje jazdy). Uzbrojenie artyleryjskie winno nie przekraczać 540 dział (kal. 77 i 105 oraz miotacze min). Ciężka artylerja, lotnictwo i czołgi są wykluczone, Reichswehra bowiem, teoretycznie, przeznaczona jest wyłącznie do zabezpieczenia porządku wewnątrz kraju. Zakazano ponadto utrzymywania sztabu generalnego i rezerwowych sił i wreszcie zabroniono uciekania się do jakichkolwiek środków mobilizacyjnych.

Dyslokacja sił zbrojnych Rzeszy przedstawia się jak następuje:

1) Grupa wschodnia — dowództwo w Berlinie — obejmuje 4 dywizje piechoty (Królewiec, Szczecin, Berlin, Drezno) i 2 dywizje kawalerji (Frankfurt n-Odrą i Wrocław).

2) Grupa zachodnia — dowództwo w Cassel — posiada 3 dywizje piechoty (Stutgart, Muenster, Monachjum) i 1 dywizję kawalerji (Weimar).

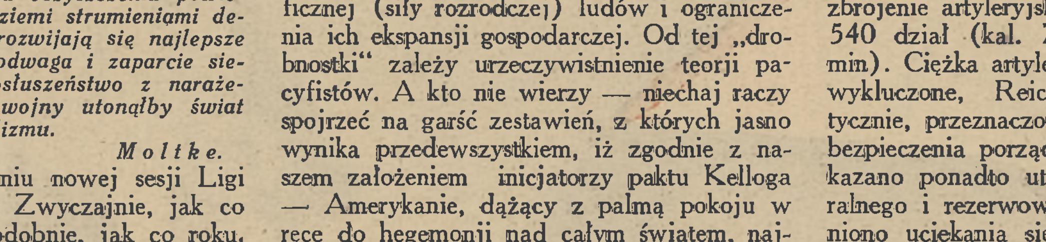
Znakomicie wyćwiczone te grupy, posiadające w swych szeregach kwiat podoficerów zawodowych, stanowią jednocześnie siły wypadowe, któreby prawdopodobnie miały na celu błyskawiczne działanie w kierunku sparaliżowania mobilizacji przeciwnika.

Tyle co do oficjalnego stanu rzeczy.

Sztuka natomiast na tem polega, żeby

Obciążenia obywateli poszczególnych Państw na zbrojenia

(we fr. fr.)



Zestawienie budżetów zbrojeń morskich

(w milj. fr. fr.)



St. Zjedn.	Anglja	Francja	Italja	Niemcy	Sowiety
9.057	7.050	2.451	1.520	1.279	1.100

te znikome na pozór siły mogły służyć w razie potrzeby jako potężny rezerwat dla uruchomienia olbrzymiej armji.

A więc przedewszystkiem — błąd zasadniczy. Mimo, że nad traktatem wersalskim pracowała niejedna tęga głowa, nie pomyślano o tem, aby ograniczyć budżet na utrzymanie Reichswehry, z czego skwapliwie korzystają Niemcy.

Weźmy, naprzykład, sprawę uzbrojenia. Na utrzymanie dozwolonej ilości 540 dział — 7.800.000 mk., na 1936 karabinów maszynowych — 8.200.000 mk. i na 102.000 karabinów — 5.202.000 mk. Jeśli zważyć, iż cena 1 karabinu wynosi 154 mk. (o 50% drożej, niż w innych krajach), a na utrzymanie pojedyńczego karabinu przeznaczono 50 mk., jasnem się staje, iż można w ten sposób zmieniać uzbrojenie co 3 lata, a tem samem — najzupełniej legalnie — tworzyć ogromne zapasy mobilizacyjne.

Podobnie się dzieje ze sprawą kadr oficerskich. Cóż z tego, że ograniczono ich liczbę, kiedy można, dzięki nieograniczonym budżetom utrzymywać na czele poszczególnych jednostek Reichswehry szereg wyższych oficerów, jak np. generałów jako dowódców pułków, pułkowników w bataljonach i t. p. A pozatem ilość oficerów, zatrudnionych w ministerstwie przekracza liczbę funkcjonarjuszów, pracujących w roku 1913.

Zniesiono akademje wojskowe?... Nic to, zorganizowano natomiast kursy przy dowództwach grup i dywizji.

Zwalnianie z szeregów wyćwiczonych żołnierzy i podoficerów, którzy wnet później znajdą miejsce wśród kadr najrozmaitszych organizacji i grup przysposobienia wojskowego zapewnia Niemcom możność postawienia na nogi doskonale wyćwiczonej armji.

Ale to nie wszystko. Szanse wojenne zależą dziś w olbrzymiej mierze od gotowości mobilizacyjnej przemysłu i środków komunikacji powietrznej i lądowej.

W jednym z poprzednich naszych numerów wspominaliśmy o znakomitej organizacji przemysłu chemicznego, ześrodkowanej w potężnej grupie *Interessengemeinschaft Farben Industrie A. G.* (zatrudniającej 86.000 robotników, 22.000 urzędników i do 4.000 inżynierów), wspominaliśmy również w swoim czasie o nieproporcjonalnym do potrzeb kraju rozroście powietrznej komunikacji i przemysłu lotniczego (możność produkowania 6000 aparatów miesięcznie).

Cyfry te i fakty, acz pobieżnie i zgrubsza traktowane, dają przedsmak tego, co mimo zapewnień, propagowanych przez zwolenników pacyfizmu, może nas spotkać w najbliższej przyszłości. Powód? Nie mówmy o tem — jest ich masa, chociażby kwestja korytarza, którą Niemcy jak słusznie zauważył jeden z najwybitniejszych publicystów francuskich, Pertinax, starają się wzniecić jaknajszybciej, zdają sobie bowiem sprawę, iż z każdym rokiem element niemiecki na tem terytorjum kurczy się, mimo wszelkiego rodzaju organizacji (podobnie jak ongiś Ostmarkverein), które usiłują utrzymać go przy życiu.



I u nas nie zasypiają gruszek w popiele. Młodzież w p. w. szkoli się, by móc odeprzeć napad wroga na całość Rzplitej.

Powody? O te najłatwiej — a wówczas, jak żywo opisuje ten koszmar francuski generał Denvignes („*La farce du désarmement*") akcja rozłoży się na trzy etapy: 1) wypad jednostek Reichswehry i Schupo, wzmocnionych rezerwami i popartych raidem eskadr lotniczych, skierowany jest z błyskawiczną szybkością przeciw wojskom przeciwnika, osłaniającym granice. 2) akcja lotników niemieckich skierowana jest wgłąb kraju przeciwnika i ma za zadanie zniszczenie dróg komunikacji, a tem samem uniemożliwienie mobilizacji i koncentracji sił; 3) akcja lotnictwa przeciw ludności cywilnej celem siania paniki i osłabienia ducha.

Czyżby nie było wyjścia z tej strasznej sytuacji? Czyżby doprawdy groza wojny miała wciąż wisieć nad naszemi głowami? Jakże uniknąć tej katastrofy?

I tu powracamy do założenia, które wysunęliśmy na wstępie. Wszelkie pertraktacje o rozbrojeniu, gwarancjach, arbitrażach — czy miałyby nastąpić w tym czy innym porządku — nie mogą dać istotnego zapewnienia pokoju. Bo czyż, jak widzieliśmy na przykładzie Niemiec — rozbrojenie stanowi o wszystkiem, kiedy na pomoc siłom ludzkim składa się masa czynników, których rozwoju niepodobna ani ograniczyć, ani skontrolować.

Usunąć zło w zarodku, oddalić raz na zawsze koszmar wojny można jedynie drogą unjii w najszerszem tego słowa znaczeniu wszystkich ludów i przez usunięcie wszelkich zakusów na ekspansję, która w tych *idealnych* warunkach utraciłaby wzelką wartość.

Warunki te wszelako nie są nazbyt idealne, aby mogły być zrealizowane w najbliższej przyszłości. Łudzić się nie wolno—przeciwnie, zdając sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy teorją a rzeczywistością, wytężyć należy wszystkie siły, aby móc odeprzeć wszelkie zakusy przeciw naszej wolności i integralności rdzennych naszych ziem.

Podamy w tem miejscu kilka ustępów ze świetnego artykułu wielkiego męża francuskiego, Rajmunda Poincare'go, w związku z ostatnimi wystąpieniami Niemców.

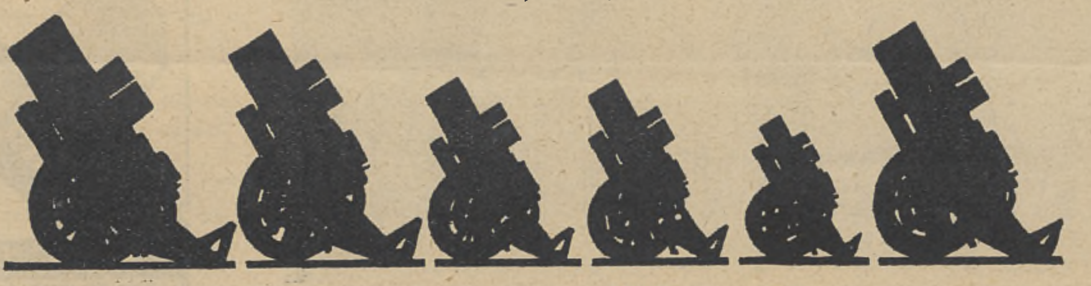
Rewizja traktatów, o którą dopominają się Niemcy, jest, zdaniem Poincare'go, przerobieniem natychmiastowem lub stopniowem mapy Europy wedle widzimisię niemieckiego. Jest to przedewszystkiem przedterminowy zwrot Saary, zanim o tem zawyrokuje plebiscyt. Jest to ponowne pokrycie zdemilitaryzowanej strefy Nadrenji gęstą siecią kolei strategicznych, fortyfikacyj i garnizonów wojskowych.

Przypuśćmy, że korytarz gdański będzie zniesiony lub tylko przebudowany. Ludność Prus Wschodnich będzie się cieszyć niewątpliwie. Lecz, czy sądzicie, że Polacy z tej połaci kraju, którzy dawniej wysyłali swych posłów do parlamentu Rzeszy i którzy od lat 10-ciu przywykli już do przebywania u siebie, zgodziliby się na powrót pod panowanie niemieckie? Stworzonoby więc na Wschodzie Europy ognisko pożaru, którego płomienie rozlaćby się mogły po całym kontynencie. Jeżeli tego chcą Niemcy, niech wyraźnie powiedzą. Ale niech dadzą spokój dążnościom do skłonienia ku tej drodze federacji europejskiej. Francja bowiem na tę drogę nie wejdzie!"

Najlepszą gwarancją pokoju w tych nieidealnych warunkach jest zdecydowane stanowisko z bronią u nogi i w gotowości bojowej.

Zestawienie budżetów zbrojeń lądowych

(w milj. fr. fr)



St. Zjedn.	Anglja	Francja	Italja	Niemcy	Sowiety
8.525	7.074	6 030	4.960	3.011	7.896



Cocktail w Lido.



Café de la Rotonde na Montparnassie

Tryumf Międzynarodówki w Paryżu

(Kartka z notatnika naszego korespondenta).

Ilekroć razy przyjeżdżam do Paryża, mam zwyczaj conajmniej jedno śniadanie spożywać w klubie *Interallié*, do którego przyzwyczaiłem się przed laty, podobnie jak do starego *maitre d'hotel'a, Vintimigee*, łączącego talent wielkiego znawcy kuchni, guide'a po Paryżu i wytwornego (tak jest!) causeur'a.

— Inwazja amerykańska nie daje nam żyć — opowiadał mi ostatnio z oburzeniem. — Trudno sobie wprost wyobrazić, jak ciężko nam przyzwyczaić się do ich zdeprawowanych gustów. Przywiązują wagę jedynie do potraw, noszących nazwę naprzykład — *canapé* Clarence Mackay, *filét de sole* Edison.

Z jakiej racji arcydzieła kuchni francuskiej otrzymują nazwy tak bardzo trącące międzynarodówką finansowo saksofonową?

A jeżeli pan przejdzie się po naszej stolicy, przekona się pan, jakie cudaczne wymyślili restauracje... *C'est tres triste*, Monsieur...



Chińska knajpa w Quartier Latin



Rosyjski „Traktir"

PROMOCJA MORSKA

W dniu 15 sierpnia, dorocznym zwyczajem, nasza marynarka wojenna wzbogaciła się w świeży zastęp młodych, dzielnych, pełnych życia, energji i chęci do pracy, oficerów.

Siedemnastu absolwentów Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej otrzymało oficerskie galony, stosowane kapelusze i złote epolety. Przybyło nam siedemnastu Trytonów, wiernie straż nad Polskiem Morzem pełnić mających.

Na pokładzie krążownika „Bałtyk" znalazła się w dniu tym cała elita gdyńskiego społeczeństwa. Więc władze cywilne i wojskowe, przedstawiciele towarzystw okrętowych, ciało konsularne, marynarka handlowa oraz liczne grono oficerów floty, których paradne mundury nadawały całemu obchodowi nader uroczysty charakter. Na mostku zasiadła barwna gromadka zaproszonych pań.

Przybyłego insp. armji gen. Burhard-Bukackiego powitały dźwięki Hymnu Narodowego. W chwilę później rozległy się raźne akordy Marsyljanki, granej na cześć komandora Cellier i oficerów francuskich. Zasiadają oni na rufie, razem z dowódcą floty komandorem Unrugiem, dyrektorem „Żeglugi Polskiej" p. Rummlem i prezydentem miasta.

Do uszykowanych w dwuszeregu podchorążych przemawia krótko komendant szkoły, komandor-por. Korytowski. Następuje ceremonja wręczenia dyplomów oficerskich, poczem absolwenci znikają. Powracają już jako podporucznicy w paradnych, kapiących od złota mundurach.

Gen. Burhardt-Bukacki wręcza prymusowi Wrońskiemu ofiarowaną przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej honorową szablę. Młody oficer, w imieniu swojem i kolegów, ślubuje uroczyście, że ani piędzi polskiego wybrzeża, ani kawałka polskiego morza, nie da wydrzeć umiłowanej Ojczyźnie. I znów trąby uderzają w podniosłe tony Hymnu, a echo niesie je het, ku wrażym ziemiom germańskim. Ostrzeżenie, że dziś rozumiemy już, czem jest morze i odebrać go sobie nie damy.

Po promocji skromne przyjęcie, a potem bal w kasynie dowództwa floty. Nazajutrz zaś zwykła, usilna praca nad rozwojem polskiej „armaty wodnej", będącej dziś najwidoczniejszym czynnikiem naszych mocarstwowych poczynań i gwarantką dalszego pokoju

To też z tej nowej promocji morskiej raduje się szczerze cała Polska, rozumna i patrjotyczna. Ale i najlepszy personel nie wskóra wiele bez odpowiednich środków. To też najwyższy czas pomyśleć, aby dzielni ci oficerowie otrzymali godne siebie okręty.

Kapitan Nemo.

KOBIETA W CELI WIĘZIENNEJ

Do rzędu różnic, jakie zachodzą między psychiką kobiety a mężczyzny, należy ciekawe zjawisko, że „płeć słaba" z większem bohaterstwem wytrzymała jest na ból fizyczny (jak np. przy ciężkich operacjach), niż tak zwana „płeć silna". I chociaż pod względem siły fizycznej kobieta nie może dorównywać mężczyźnie, to pod względem siły duchowej, wykazuje więcej zrównoważenia, odporności i samozaparcia. Nigdzie ta różnica nie daje się stwierdzić z taką wyrazistością, jak w dziedzinie kryminalistyki.

Uwięziony mężczyzna (oczywiście, wyłączając wypadki, gdy chodzi o recydywistę lub o zbrodniarza, dla którego więzienie nie jest już nowością i który mury więzienne wita nieomal, jak lokal klubowy), przekracza próg celi, częstokroć z głośnem wymyślaniem i przekleństwem i podczas odbywania kary zachowuje się jak niezadowolone i bardzo przygnębione indywiduum, które za wszelką cenę dąży do zmiany.

Byle jakiej, ale zmiany.

Kobieta-więzień natomiast, całkiem jak przy operacji, jak przy cierpieniu fizycznem, poddaje się zazwyczaj swemu losowi z większym stoicyzmem i odwagą, i tem się tłomaczy, że bunt więźniów-kobiet nie zdarza się prawie nigdy.

Cały bieg formalności przyjmowania więźniów, odsiadywania kary aż do chwili wypuszczenia na wolność, stosowany jest, według międzynarodowych reguł, jednakowo — zarówno do mężczyzn, jak i do kobiet, a więc przedewszystkiem po opisaniu danych personalnych, odbierają mężczyznom, zamykanym w więzieniu śledczem, wszystkie przedmioty, przy pomocy których aresztowany mógłby popełnić samobójstwo, kobietom nie pozostawia się nawet sznurowadeł od bucików, chociaż, jak wykazuje statystyka, wypadki targnięcia się na życie kobiety w więzieniu są nader rzadkie.

Sądząc z obserwacyj dozorczyń, kobieta zachowuje się w celi inaczej, niż mężczyzna. Podczas gdy więzień-mężczyzna zachowuje się niespokojnie i całemi dniami, a czasem i miesiącami może chodzić i miotać się po celi, jak dziki zwierz w klatce, kobieta-więzień zdolna jest cicho i spokojnie przesiadywać długie godziny na jednem miejscu. Psychologowie więźniów tłomaczą to dziwne zjawisko, wrodzoną każdej kobiecie sztuką komedjanctwa. W takich chwilach udawanej kontemplacji, kobieta-więzień dokładnie przygotowuje się do obrony, mając na myśli przedewszystkiem działanie na sentyment, współczucie i litość, lub dobrze maskowany spokój niewinności.

Zdarza się, oczywiście, że mimo pozornego spokoju, ta lub owa uwięziona kobieta obdarzona wybujałym temperamentem, całkiem nieoczekiwanie staje się agresywna i wybuchowa. W takich wypadkach stosowanie odnośnych środków ochronnych nie jest jednakowe we wszystkich krajach. Tak, naprzykład, w niektórych więzieniach centralnej Europy, zainstalowane są specjalne „cele gumowe", do których zamykane są wybitnie awanturujące się i histeryzujące kobiety.

Jedną z czynności formalnych, z jaką związane jest przyjęcie aresztantki do więzienia śledczego, jest fotografowanie jej i dokonanie odcisków palców dla celów daktyloskopijnych, pozostające do dyspozycji wydziału rozpoznawczego. Jak dalece przejawia się w takich wypadkach próżność kobieca, dowodzi fakt, że zachowanie się aresztantki przy zdjęciach fotograficznych jest niemal groteskowe. Niektóre, rekrutujące się z najniższych warstw społecznych, stają się w takiej chwili nieomal dumne z dokonywanej z niemi funkcji i zapominając o swojem tragicznem położeniu, starają się przystroić twarz w „jaknajprzyjemniejszy wyraz". Innym znów, a zdarza się to nierzadko, humor i niefrasobliwy nastrój dopisuje do tego stopnia, że żądają lustra dla poprawienia włosów i toalety. Zdarzają się atoli wypadki niezwykłego wyrafinowania. Znana jest kategorja aresztantek, które przy dokonywaniu zdjęć fotograficznych potrafią do tego stopnia zmienić wyraz twarzy, że tylko specjalista urzędnik może się doszukać identyczności między oryginałem a fotografją.

Sprawie więzień dla kobiet w naszym kraju poświęcimy wkrótce obszerny artykuł.

M. S.



Bachus opuścił Olimp, gdyż wolał osiąść w New Yorku, gdzie w tajnych barach poją się — wbród i jeszcze trochę...
(akw. Will Dysona „Vanity Fair")

WIKTOR JUNOSZA.

Prędzej, prędzej, coraz prędzej...

„Nurmi przewyższył sam siebie, ustanowił nowy rekord światowy w biegu na 1.500 metrów" — głoszą triumfalnie gazety całego świata. Przed tygodniem takiż wybuch radości towarzyszył prześcignięciu przez murzyna Tolana Charlesa Paddocka, pokrycia przezeń 100 metrów w 10 sekund i dwie dziesiąte.

Sensacją podobną było postawienie przez Micharda nowego rekordu kolarskiego. A cóż mówić o zainteresowaniu publiczności rajdem awjonetek, a cóż dopiero o tem głębokim wrażeniu, jakie wywarły szalone harce „Złotej Strzały", na piasku Pendine-Plage — niesamowite rekordy samochodu Segravea, tego samego, co się zabił na Tamizie, usiłując rozwinąć niewidzianą dotąd szybkość na motorówce...

Szybkość... oto natrafiliśmy na „słowo magiczne" wyrażające cel tych wszystkich wysiłków, z taką emocją śledzonych przez świat cały.

Czy te poszukiwanie chyżości krańcowo intensywne jest przypadkiem, czy też znaleźć w nim można treść głębszą i głębsze znaczenie?

Każdy okres dziejów Ludzkości posiadał swą cechę znamienną. Wiek XVII stał pod znakiem Władzy, XVIII pod znakiem Rozsądku, XIX pod znakiem Wiedzy.

Godłem wieku XX jest Szybkość.

To wygląda skromnie. Lecz postarajmy się zgłębić, co się pod tem pojęciem kryje, Szybkość, to nietylko przesuwanie się



Zdobywca wielkiej nagrody amerykańskiej (dolna) za wyczyny lotnicze został Lee Gehlbach z Detroit za dokonanie przelotu 8.864 klm. w 47 godz. 35 min. (przeciętna szybkość 205 klm. na godz.).

strzałki, przeskakującej z cyfry na cyfrę, gdy naciskamy na pedał samochodu. To nawet nie stosunek przebytej przestrzeni do zużytego czasu. Ten stosunek — to tylko jeden z wielu przypadków. Są ludzie, myślący szybciej od innych; pojęcie przestrzeni nie wchodzi tu w rachubę. Cały system Taylora, ojca „Scientific Management" ma na celu pozwolić uczynić jaknajwięcej w jaknajkrótszym czasie. By tego dopiąć, ogranicza się ruchy i wykonywuje je z możliwą chyżością. Wyzyskuje się również przyśpieszenie psychologiczne; uzyskać je można zastępując myślenie przyzwyczajeniem lub instynktem.

Jak określić ten znak rozpoznawczy życia współczesnego? Wydaje mi się, iż nie byłoby nielogiczne zastosować następującą formułkę:

$$S = \frac{W}{C}$$

Chcę powiedzieć: szybkość równa się wydajności życia podzielonej przez czas.

Szybkość, to we wszystkich dziedzinach zaklęty wróg czasu. W każdem życiu spotyka się okresy niewyzyskane: czekanie na pociąg, dzwonienie do kogoś, gdy telefon jest zajęty, przypominanie adresu, gdy się notes zapomniało — tyleż inertnych kawałków życia, okresów przejściowej, krótkotrwałej śmierci.

Oto dlaczego szybkość, dążąc do umniejszenia tych momentów bezwładu, jest przeciwniczką nieprzejednaną śmierci.

Zwiększając wydajność życia w ciągu jednostki czasu, pokonywa się właściwie czas, przedłuża życie.

Oczywiście — sposobem najogólniejszym i najskuteczniejszym dodania czasu do życia jest skrócenie chwil, traconych na poruszanie się w przestrzeni. Kto chce, niech wspomina ze wzruszeniem dawne dyliżanse i karetki pocztowe, owiane nimbem romantyzmu. Że były narzędziami śmierci, dowodzi chociażby fakt, iż zostały przekreślone przez... życie.

W pojedynku szybkości z przestrzenią, będącym właściwie walką z czasem niewyzyskanym — od pięćdziesięciu lat czas stale ustępuje. W tem, co dotyczy słuchu, jest ranny śmiertelnie: przestrzeń przestała odgrywać rolę w dobie telefonu i radja. W tem, co dotyczy wzroku przestrzeń wchodzi jesz-



Dystans Los-Angelos—New-York został pokryty przez lotn. Hawksa szybkością 320 klm. na godzinę. Rekord Lindbergha wynosił 188 klm.

cze w rachubę, lecz przeczuć można, że zostanie zwyciężona. Pozostaje walka człowieka, chcącego przenieść się z jednego punktu globu na drugi. Walka najcięższa. Wprawdzie znamy już samochód i samolot, z zastosowaniem prawdopodobnym w najbliższej przyszłości siły elektrycznej. Wprawdzie stary kocioł parowy pójdzie niebawem do muzeum i spocznie w sąsiedztwie bata furmańskiego ale... dużo jeszcze czasu przejdzie nim czas zostanie ostatecznie ujarzmiony, i nim uda się nam uniknąć całkowicie okresów chwilowej śmierci.

Oto powody, dla których ekstazjujemy się nad każdym wyczynem lotnika, automobilisty, cyklisty czy biegacza, dla czego każdy nowy rekord szybkości wywołuje w nas entuzjazm. Bo rozumiemy, że dla nas szybkość — to życie.

Doktór Takagi przekona was, że Japończycy umieją rządzić!

Gdy Japonja w 1895-ym roku po wojnie chińsko - japońskiej przejęła rządy nad Formozą, wyspa ta wówczas — choć przepięknie przez naturę wyposażona, nie mogła się zaliczać do rzędu krajów cywilizowanych, gdyż wielkie jej przestrzenie były zamieszkane przez ludzi dzikich najgorszego rodzaju.

Japonja odrazu wzięła się do dzieła, zaczęła przedewszystkiem od usunięcia największego zła tego kraju: palenia opjum. Co ośmnasty chińczyk był bezwzględnie stracony, gdyż był nałogowym palaczem opjum. Japońskie władze jednak zdawały sobie dobrze sprawę, że handlu opjum nie wypleni się jednem pociągnięciem pióra, że, nagle, bezwzględne przerwanie dowozu opjum mogłoby narazić ofiary nałogu na nieznośne cierpienia, a może nawet na śmierć.

Jednakże reformy musiały być czemprędzej zaprowadzone, gdyż Japończycy napływali na Formozę, a była obawa, 1-o, że sami popadną w ten nałóg, a 2-o, niepewni byli życia, z powodu ekscesów dzikich wyspiarzy. W pierwszych dwóch latach nie dało się kompletnie usunąć napadów na ludność spokojną, palarnie opjum były w dalszym ciągu bardzo uczęszczane, a dżuma i febra dziesiątkowały jeszcze ludność. Japońskie władze sanitarne wysłały na Formozę d-ra Shimpei - Goto z całym sztabem lekarzy, sióstr miłosierdzia, biologów i chemików, którzy rozpoczęli usilną walkę z zarazą i opiumizmem. Dr. Shimpei-Goto urządził w całym kraju szpitale i laboratorjum w celu zbadania bakcyla zarazy, liczba śmiertelności odrazu zmniejszyła się. Cały kraj został przymusowo czyszczony: czyszczono mieszkańców, mieszkania ich, ulice, nawet całe osiedla. Zniszczono siedliska moskitów, tak, że odrazu zmniejszył się procent zachorzeń na malarję. Następnie został wprowadzony zwyczaj, przyjęty w Japonji, grutownego porządkowania wszystkich domów dwa razy do roku. Nakazu tego mieszkańcy Formozy bardzo ściśle przestrzegali. W końcu nawet te nieuświadomione masy zrozumiały, że istnieje jakiś związek między brudem a chorobą. Po tych zarządzeniach śmiertelność na malarję spadła prawie o 60 proc.!

Aby ograniczyć handel opium, urządzili Japończycy na Formozie państwowy monopol wwozu i sprzedaży opium.

Straceńcy, którzy nie mogli żyć bez opjum, otrzymywali w pewnych odstępach odmierzoną dozę. Każdy z nich, chcąc otrzymać pozwolenie na kupno opium, musiał mieć zaświadczenie lekarza, w którem było zaznaczone od jak dawna podlegał temu nałogowi. Dozowanie stosowano do stopnia, w jakim dany pacjent był opiumistą, za każdym razem pacjent otrzymywał rację trzydniową. Specjalny inspektor obarczony był misją kontrolowania, czy wykaz w książkach handlarza opium zgadza się z wykazem w książce ofiary trucizny. Przy takiem uregulowaniu handlu nie mogły już przybywać nowe ofiary i rząd obliczał, że z chwilą wymarcia dawnych nałogowców, liczba palaczy opium spadnie do zera.

Aby uregulować handel opium, musiała Japonja przedewszystkiem ustalić ścisłą liczbę nałogowych palaczy. Nie było to łatwe. Do roku 1898-go zarejestrowano tylko 95,449 ofiar, w 1900-ym jednak okazało się, że ich jest 165,752. Od tej pory cyfra ta stale się obniżała, aby w roku 1926-ym spaść do 33,755, a i wśród tej liczby, większość nałogowców miała ponad 55 lat. Z tych zestawień wynika, że za lat dwadzieścia nie będzie ani jednego palacza opium na Formozie.

Tak! Zwyciężyć to rzecz przewagi, przemocy, szczęścia, ale *rządzić trzeba umieć.*

Nie każdy naród to potrafi, nie każdy jest do tego powołany!

Formoza stała się dzięki Japończykom krajem szczęśliwym, z nizin kultury i uświadomienia za łeb wleczeni krajowcy, jakiemże krańcowo, innem żyją dziś życiem!...

Szczególnie imponujący jest ów *najazd* japońskiego sanitarjatu na Formozę!...

Japończycy zrozumieli, że tylko taką drogą idąc, osiągną zupełną unifikację ku zadowoleniu ba! ku szczęściu formozan. *Hael.*

JERZY SOSNKOWSKI.

KARA

Ciemne grzbiety fal docierały do niskiego pokładu, w rozsianem świetle księżyca, wyglądając jak wygładzone, z ciemnego metalu wykute cielska długich, niesamowitych bestyj.

Leniwa, groźna moc, potęga chłodna, ponura, spadała na pokład, szukała ofiar, a nie znajdując ich, odpływała lukami i spustowemi otworami w burtach, spieniona i oprygskliwa. Torpedowiec parł całą siłą setek parowych koni, — noc rozstępowała się przed dumnym dziobem statku, — otwierając swe łono i zwierając je zaraz za rufą. Mgła dopełniała reszty,—wchłaniała tak doszczętnie zarysy statku w swe sprężyste ciało, że na morzu nic nie przypominało iż przeszedł tędy okręt, ledwie, ledwie dyszący pracą maszyn, — ponury i ciemny. Wsiąkał w dal, przesuwał się w mrokach wodnej pustyni jak widmo, jak duch, chyłkiem pomykający przez cmentarzysko. A czemże, jak nie cmentarzyskiem była wielka wodna przestrzeń dookoła? Ileż istnień, ile tworów pogrzebała ona w swoich zimnych toniach? Każda fala oceanu, to mogiła, każda bruzda wodna to katakumba, — każdy płacheć spokojnego morza to płyta grobowca, pod którą spoczywają tajemnice wieków.

Wody morza Północnego, w noc jesienną, zachmurzoną, kiedy świat cały rozelśniony jest dziwnym pobrzaskiem, niby spojrzeniem wieczności, — wyglądają jak gładkie wieko trumny. Na wierzchołkach fal migoce srebro śmiertelnych ozdób, — stocza wysokich, spiętrzonych wałów mają kolor hebanu. Zda się, legion potopionych wypłynie nagle na powierzchnię, — lęk i zimna trwoga błądzą nad głębinami.

Za człowiekiem, w noc taką czuwającym samotnie na pokładzie, płynie czarną bruzdą, wyoraną przez nawę, wszystko zło, wszystkie złe wspomnienia, złe dnie, uderzenia losu, zła przeszłość, — przed kilem nerwowo pląsają przeczucia bolesne, mknie przyszłość, w której żadnego jaśniejszego błysku dostrzec nie sposób... Zła noc...

— — — — — — — — — — — —

Porucznik Radwan, otulony w płaszcz marynarski, sztywny jak pancerz, stał na kapitańskim mostku, pochylony nad nawigacyjnym stołem, mdło oświetlonym maleńką lampą. Rój myśli, niby rój cieni cienioskrzydłych, drgał szarą obręczą wokół skroni. Wszystkie miały jedną nazwę: wyrzut sumienia... Wzburzone było morze, i wzburzona jego dusza. Niepokój, — ta burza nieustanna, z którą zmagał się od trzech miesięcy, wyczerpywała siły i hart zmieniała w kłębek rozedrganych nerwów. Radwan zaciskał dłonie, — zaciskał powieki, by nie widzieć widm złowrogich, — na nic! — wkradały się przez serce, poprzez mózg, przez wspomnienie i nękały go, dławiły i sprawiały, że rozpalonem spojrzeniem szukał w ciemnościach, czy nie nadchodzi stamtąd litościwa śmierć, czy niema gdzieś niedaleko niechybnej zagłady, któraby go wyzwoliła, pozwoliła uciec od siebie samego „i od brzydoty własnych czynów...

Najpotężniejsze uczucie, najszaleńsza namiętność nie mogła usprawiedliwić faktu, że zawiódł zaufanie kolegi, że ukradł koledze broni to, co przywykł uważać za cześć samą, — że postąpił, jak opryszek, rabuś, złodziej, że... Mocniejszy podmuch wichru gwizdnął przeraźliwie w wentylatorach i pochylił smukłą postać nad mapą. Zjawiła się twarz Leny, zapłakana, z umęczonemi oczami, a zarazem cudna, prześwietlona najmocniejszą z miłości. Radwan jęknął i wyciągnął dłonie, — a wtem cień jakiś wdarł się gwałtownie między nich dwoje... Bohdan... Radwan rzucił się wstecz, chwytając oburącz rozpalone czoło.

Cudna twarz Leny zasuwać się jęła w gęste ciemnie morskie. Wyciągała drżące dłonie, prosząc o ratunek, o pomoc. Zamigotało światełko lampki, rozgoniło nowe cienie po białej mapie. Między linjami równoleżników, na morskich przestrzeniach zarysował się świetlisty napis: „zabrałeś mi serce żony, zabrałeś mi ją całą. Co myślisz zrobić dalej?"

Twarz Bohdana, coraz częściej zjawiała się. Radwanowi — taka sama, jak ją w naturze widywał codzień, — więcej tylko zasępiona, smutniejsza, z większą niż zazwyczaj rezygnacją, wyrytą na czole. Zjawiała się ostatnio częściej nawet, niż twarz Leny, i Radwan zapytywał sam siebie ze strachem, co to znaczy?

— — — — — — — — — — — —

Odkąd, po dniu, kiedy stała się ta rzecz fatalna, kiedy musiał sobie powiedzieć, że przestał być człowiekiem uczciwym, kiedy miłość wygrała od przyjaźni bitwę o honor, kiedy oszukali oboje haniebnie tego dobrego męża i pełnego poświęcenia kolegę, — odkąd wyszli na morze na dwutygodniowe manewry, — stan Radwana, stan psychiczny, pogarszał się coraz bardziej. Mocą miłości czuł zarazem, co myśli ona, zostawiona sobie samej ze wspomnieniami i refleksjami. Czuł, że cierpi tak samo, i to przysparzało mu bólu w dwójnasób. Kochał, — i myśl o jej cierpieniu żarła go, wyrywała rekiniemi zębcami kawały żywego serca, zabijała, niszczyła.

— Tak dalej być nie może — krzyknął nagle.

— Rozkaz, panie poruczniku! — wyskoczył z mroków zadyszany bosman.

Odesłał go niecierpliwem skinieniem. Opamiętał się.

Szły nad wodami pierwsze zwiastuny świtu. Jakieś lękliwe, świetlne majaki, jakieś skrzyżowano lśnienia... Zabielała oficerska czapka.

— Idź spać, Jerzy — zasalutował z uśmiechem miczman Brzozowski, — moja wachta! Tam masz w kajucie buteleczkę konjaku do poduszki, — dodał z zadowoleniem.

Radwan odsalutował i zeszedł powoli z trapu.

— O ósmej patrol ćwiczebny! — krzyknął jeszcze za nim miczman.

— Kto jedzie? — zapytał, zatrzymując się.

— Kapitan Bohdan.

Wtulił głowę w ramiona. Sam dźwięk tego imienia działał nań przygnębiająco.

— — — — — — — — — — — —

Rzeczywiście, znalazł na stoliku butelkę konjaku. Radwan pochwycił ją gorączkowo. Życiodajny płyn rozszedł się po żyłach młodym płomieniem, niby rodzące się na wodach ognie świtu, ognie powstającego dnia. Odczuł pewną ulgę. Wyciągnął z walizeczki, starannie zamkniętej na klucz — fotografję Leny, parę jej listów, sprawdził drzwi kajuty i zatopił się w kontemplacji.

Kajutę wypełniało czerwone, krwawe światło. Coś razem z nim rodziło się w piersi i myśli Radwanowej, razem z nowym dniem, tam, na oceanie.

Butelka została opróżniona, w głowie czuł dziwny rozruch. Potok zbudzonej energji przepływał przez jaźń, zmęczenie ustępowało miejsca pragnieniu czynu, poczynał się proces odporności po długotrwałem przygnębieniu.

Ogarnął go nagły poryw miłosny i duma, że przełożyła go nad tamtego. Tak, tak: kapitan Bohdan, zawsze powolny, zatopiony w sobie, raczej ponury, posępny, małomówny, cichy... Oboje wiedzieli doskonale, jak głęboko, jak rozpaczliwie kocha Bohdan swoją żonę.

Łamało się w Radwanie serce na myśl, jak znaleźć wyjście z sytuacji? Nie można dalej żyć w ten sposób. Znów zobaczył oczy Leny, wpatrzone weń z wiarą, z oczekiwaniem, iż on, mężczyzna, napewno jakoś zaradzi, urządzi tak, by byli szczęśliwi, — i żeby tamten nie cierpiał zanadto...

Powiedzieć mu wprost, — po męsku?

On, natura prosta, jak pień starodrzewa, który wicher losu złamać może, strzaskać, ale ugiąć — nigdy? Wydało mu się to wykluczonem najzupełniej. A rozwiązanie jakieś jest konieczne...

Alkohol rozpromienił Radwana. Zrzucił mundur. Piekł go, i nieznośną była myśl dręcząca, że go splamił... Biegał po ciasnej kajucie. Jakież, jakież wyjście znaleźć z zaczarowanego koła? Czy nie lepiej tak zrobić, by się nie dowiedział nigdy? Coś nieokreślonego zatrzęsło Radwanem. Coś nieskrystalizowanego, ale okropnego. Drżał z podniecenia.

W okienku zapłonął pożar. To słońce wynurzyło się z czarnych wód i zalało pokoik. Radwan spojrzał na dłonie i zatrząsł się ze zgrozy, — były czerwone, jakby skąpane we krwi gorącej i żywej. Z lustra wyjrzały nań oczy zmęczone, obwiedzione czarną obręczą. W zamglonych źrenicach błyszczał nikły ogieniek szaleństwa...

Na pokładzie, nad głową, usłyszał ruch nagły i gwar.

— Szalupa podjazdowa — pomyślał, i rzucił się na łóżko.

Coraz bardziej tętnił mu w skroniach alkohol.

— Psiakrew, rozpiję się jeszcze — zląkł się. Pijaństwo przejmowało go zawsze strachem i obrzydzeniem.

— — — — — — — — — — — —

W półśnie słyszał nabrzmiały łzami głos Leny. Nachylała się nad nim, muskała rozkochanemi do bezgranic dłońmi płonące jego skronie i nabrzmiałemi z pragnienia wargami szeptała pytanie:

— Co będzie z nami? Co z nami będzie?

W oczach lśniły olbrzymie perły łez.

— Co będzie z naszą miłością? Co będzie z nami?

— — — — — — — — — — — —

Podrzucony nagle obcą, wielką siłą, zerwał się Radwan z wąskiego łóżka. Podbiegł do okienka. Potem sam nie wiedział, jak to się stało. O trzysta kroków od statku, kołysała się na spokojnej fali podjazdowa szalupa. Na rufie Bohdan, wyprostowany, obrócony tyłem do okrętu, dawał rozkazy marynarzom, zgiętym nad wiosłami.

Na tle purpurowego nieba ciemna postać była niby wycięta przez rysownika sylwetek. Był okropnie wyraźny, — tak dokładnie widoczny. Coś się przełamało w Radwanie... Skoczył jak ryś, do kąta kajuty, gdzie na stojaku stał krótki marynarski karabinek.

Ruchem lunatyka odwiódł, załadował, uchylił okienko, wsparł lufę o mosiężne okucie, wycelował...

Mierzył długo, błędnem okiem nie mogąc uchwycić muszki. I znów ta obca siła kazała mu pociągnąć cyngiel. Ciemna sylwetka, niby zepchnięta przez mocny powiew wiatru, zwaliła się przez burtę do wody...

— — — — — — — — — — — —

Radwan zwolna odjął kolbę od rozpalonego policzka, oparł broń o ścianę, wybitą mysiem suknem (gust Leny!) i zwolna odwrócił się od okna, nie mając siły podnieść w górę spuszczonych oczu. Wałęsały się one po podłodze, gdy wtem natknęły się na równy błysk świeżo wyczyszczonych butów...

Zwolna podnosił ociężałe powieki. Ważyły chyba po sto kilo. Spojrzał, i runął nawznak, rozbijając głowę o zamek odrzuconego karabinu.

W uchylonych drzwiach kabiny stał kapitan Bohdan, trzymając w ręku jedną z oglądanych przed chwilą fotografji Leny.

— — — — — — — — — — — —

Do końca manewrów zostało jeszcze trzy dni.

Mroczne fjolety spowijały coraz bardziej świadomość Radwana. To, co w pierwszej chwili wziął za cud, okazało się przypadkiem.

Kapitan Bohdan nie pojechał na podjazd, wysławszy, jako zastępcę, starszego bosmana. Ten, nieborak, zginął. Nie słyszano strzału, ani na statku, ani na łodzi. Załoga szalupy skwalifikowała wypadek bosmana, jako nagły udar sercowy. Wydawał właśnie komendę, nagle wzniósł ręce do góry i bez jęku runął za burtę. W jednej chwili poszedł na dno. Tę samą opinję podzielał lekarz okrętowy. Nurkowano za nim. Bez skutku. Głąb w tem miejscu była otchłanna, połknęła go też łapczywie, a on jak kamień szedł na dno.

Cóż! Życie żołnierza! Mówiono o tem przez pół dnia, potem zamęt manewrów kazał zapomnieć o nieszczęśliwym wypadku. Starszy bosman zresztą był na okręcie człowiekiem nowym, — niedawno go przeniesiono. Nie zdobył sobie jeszcze sympatji załogi, był mrukliwy, opryskliwy i jak się zdawało z tych paru dni służby — surowy. Nie zostawił nikogo, stary kawaler, nie miał żadnej rodziny.

Radwan oczekiwał aresztowania. Do wieczora, to jest, do czasu objęcia swojej wachty, przesiedział w kabinie, bez ruchu. Wypalił mnóstwo papierosów, wypił nowe dwie butelki konjaku.

Miczman Brzozowski zagwizdał zcicha, zaszedłszy doń w południe.

Radwan przeciągnął dłonie.

— Przyszedłeś po mnie, tak?

Brzozowski wytrzeszczył oczy, potem wybuchnął śmiechem.

— No, wiesz, toś ty morowy, — zaczął, porozumiewawczo wskazując na puste butelki. — Wstawiłeś się, chłopie. Ale cóż ty tak sam pijesz? — dodał nagle, przypatrując się baczniej Radwanowi.

— A czyś ty nie chory przypadkiem? Djablo blady jakiś jesteś!

To przywróciło Radwanowi równowagę. Poklepał miczmana po ramieniu.

— Eh, cholernie nudne te manewry, to i chlać jakoś się zachciewa. Może tak palniemy po jednym?

Miczman przystał z ochotą.

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem spotkali się z Bohdanem na deku. Po kapitanie nic znać nie było, miał tylko

twarz zupełnie szarą. Pozatem ten sam wyraz, co zwykle, — nieco tępy, wzrok utkwiony przed siebie, trochę ponury, więcej jakby zamyślony, jakby zapatrzony w coś, co jest daleko i co wymaga natężenia oka, by to dojrzeć.

Nie odezwał się słowem do Radwana.

Zdumiał porucznik z początku, potem poczuł się tak, jakby mu dano w twarz. Rozbity zupełnie, polazł na mostek. Miał wszystkiego dwie godziny wachty, ale to było piekło. Pozostawiony sam z swoimi myślami i z tą makabryczną nocą, wyjącą znowu setkami widm poza ciasną granicą kręgu światła elektrycznej latarki, — był bliski obłędu.

Zataczał się, schodząc z mostku i poszedł prosto do „messy". Upił się do nieprzytomności, że ordynans ze stewardem ledwie go dotaszczyli do łóżka. Spał w ubraniu.

— — — — — — — — — — —

Dzień następny nie przyniósł żadnej zmiany. Przyglądał się Bohdanowi, czyhał na chwilę, kiedy ten powie, że chce się z nim porozumieć. Ale Bohdan chodził milczący i wciąż jednaki, nie jak człowiek żywy, ale jak widmo.

— A może — zimny dreszcz przeszedł po krzyżach — może to rzeczywiście widmo? Może ja naprawdę go zabiłem i teraz duch wrócił na statek, by mię powoli zamęczyć?

Ale „duch" pił wino przy obiedzie i parę słów zamienił na tematy służbowe z innymi oficerami.

Wkońcu Radwana ogarnęła rozpacz. Próbował sam zmusić go do rozmowy. Nie udawało się, — tamten wyraźnie go unikał. Unikał nawet jego wzroku. Chociaż, parę razy, Radwan niespodzianie obróciwszy się widział, że kapitan obserwuje go ukradkiem, jak jakiś ciekawy okaz, nie zdradzając zresztą żadnego gwałtowniejszego uczucia.

— Co u djabła? — gorączkował się Radwan — udaje, czy co? Co to za jakiś nowy sposób?

Pod wieczór był tak rozdrażniony i zdenerwowany, że trząsł się dosłownie, niby w silnej gorączce. Po godzinie zresztą wzięło go naprawdę. Miał silne dreszcze i zimne poty oblewały raz po raz.

Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia i to go doprowadzało do pasji. „Czyż już rzeczywiście taką beznadziejną kreaturą jestem, że zabijam człowieka, niewinnego w dodatku i nawet tego nie odczuwam?"

Ale tutaj zjawiła się twarz Bohdana i na jej widok Radwan kurczył się boleśnie.

Twarz mówiła: „A ja? Myślisz, żeś mnie nie zabił? Dlatego, że nie widzisz mojego trupa? Bo ten trup jest żywy, ale tem niemniej jest to trup. Wyrwałeś mi serce, zdeptałeś duszę, omal nie zabiłeś ciała. Jesteś poczwórnym mordercą. Jesteś potępiony".

I czuł się, rzeczywiście, potępionym. Szalonemi oczyma wodził po popielatych ścianach swej kabiny (gust Leny!) i czuł, że je nienawidzi. Wracał jak do ożywczej krynicy, do pamięci i wspomnień o Lenie — i nie znajdował poszukiwanego ukojenia.

„Czyżbym ją przestał kochać? Czyżby to było możliwe? Czy może... czy może" — ta myśl znów przyprawiała go o atak, — „czy może nigdym jej nie kochał? W takim razie, poco tyle łajdactw, za które, w dodatku, znikąd nie zjawia się żadna kara? Jakże być może, jak istnieć może przestępstwo bez kary?"

Odpędzał zjawę Leny. A potem przywoływał ją, bo mu się zdawało, że nic wtedy niema. Jest tylko zbrodniarz i złodziej, bez aureoli bohaterstwa, poświęcenia, miłości. Przyzywał tę miłość, czepiał się jej kurczowo, jako jedynego usprawiedliwienia. A ona — jakby odchodziła, jakby łagodnie rozchylała jego kurczowo zaciśnięte na szatach palce, niby niegrzecznemu dzieciakowi, delikatnie, by mu nie wyrządzić szkody, — i odchodziła.

— — — — — — — — — — —

Trzeci dzień był końcem manewrów. Około drugiej po południu zejść się powinny wszystkie okręty, i na torpedowcu kapitana Bohdana, w obecności admirała, miało być omówienie dokonanej akcji.

Tego dnia Radwan był jaśniejszej myśli. Jakże mógł się nie domyślać tego! Bohdan nie chce sam sobie wymierzać sprawiedliwości, to proste. Ale natychmiast zamelduje wszystko admirałowi i stanie się to, czego tak pożądał!

Zjawę Leny zdecydowanie odpychał. Nie kocha jej więcej. Zbyt gwałtowny był szał, zbyt wiele kosztowała go popełniona wina. Przez nią to, przez tę miłość występnym stał się złoczyńcą, — z pozorami uczciwego człowieka.

Tylko... coraz to dziwniej spoglądał nań Bohdan. Nie mówił nic, jak dawniej, — nawet służbowe zarządzenia przysyłał mu albo na piśmie, albo przez młodszego oficera. Ale spoglądał nań coraz częściej i coś dziwnego, czego nie mógł zrozumieć Radwan, malowało się w jego wzroku.

Przy obiedzie miczman Brzozowski zauważył:

— Dużo pijesz teraz!

Rzeczywiście pił już piąty kieliszek.

— O, do djabła! — zaklął w duchu. — Zaczynam być nieobliczalny.

Wspomniał ów bal, ów wieczór, kiedy sądził, że stał się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, kiedy posiadł Lenę... ach!

— Wstrętne! — krzyknął w głos.

Cisza zapanowała przy stole. Wstał, przewracając szklankę i pobiegł ku schodom.

— — — — — — — — — — —

Szaleństwo chwytało go coraz mocniej. Oczy bolały, jakby je coś uciskało zzewnątrz. Krew rozsadzała skronie.

— Czyż on nie odczuwa żadnej zazdrości? — myślał o Bohdanie, — przecie wie teraz wszystko! Więc to nic dlań nie znaczy, czy też poi się zemstą, jaką wywrze na mnie, oddając żandarmom?

Tak, czy inaczej, czuł, że chwila, kiedy wreszcie zostanie aresztowany, będzie dlań wyzwoleniem z moralnych tortur, jakie przechodził. Liczył minuty do utęsknionej godziny drugiej, do raportu, omówienia... i kary.

Nadeszła.

Na pokładzie zgrupowali się, ustawieni w czworobok, oficerowie wszystkich, biorących udział w manewrach, okrętów.

Przyjechał admirał, rozpoczął się raport.

Radwan zgrzytał zębami z niecierpliwości. Poodpinał dyskretnie sprzączki od szabli, by łatwiej ją mógł i prędzej oddać, gdy jej od niego przy akcie aresztowania zażądają.

Po długiej litanji raportu usłyszał nakoniec upragnione słowa:

— Porucznik Radwan, — mówił kapitan Bohdan, i znów utkwił to dziwne spojrzenie w Radwanie spojrzenie na coś oczekujące, jakby pełne zdziwienia, że to coś nie nastąpiło jeszcze, — porucznik Radwan, — mówił wolno, spokojnie, jak zwykle, — podczas całych manewrów pełnił służbę wzorowo co należy podkreślić z uznaniem, biorąc pod uwagę, że był specjalnie niedysponowany, jakem zauważył...

— — — — — — — — — — —

Radwan osłupiał. Wytrzeszczone oczy utkwił w Bohdanie. Spotkał znowu ten specyficzny wyraz zdziwienia, to jakby zastanawianie się, czemu nie dzieje się coś, co się dziać powinno.

I nagle zrozumiał. Całe napięcie nerwów prysnęło odrazu, jak szklana bania.

— Ach, to ty tego chcesz, tego? — mamrotał pod nosem, nieco zaskoczony, — a ja, cymbał, myślałem, że ty, własnemi rękami, — że zemsta — to takie miłe — że bezpośrednio... Ech!

Fala ostatniego, gorzkiego wstydu sparzyła mu pierś. Wstydu, że się nie domyślił tego, co zrobić powinien był oddawna! Wstydu, że nie znalazł się jak gentleman, podczas, gdy ten tam, żarty okrutnym bólem, krzywdą, podłością usiłowanego morderstwa, które widział, na własne oczy widział, czekał tak długo...

Jakże niesłychanie gorzkie poniżenie przepełniło mu serce i duszę!

Uśmiechnął się smutno. Umierając nawet nie może pomyśleć o tem, że umiera jak bohater, czy jak ofiara.

Wielka rezygnacja owinęła go kojącym welonem, — i kiedy admirał podchodził z gratulacjami i podzięką za dobrą służbę, wyciągnął rewolwer z kieszeni i włożywszy lufę w usta, pociągnął za cyngiel.

— — — — — — — — — — —

Wtedy dopiero na nieruchomą twarz kapitana Bohdana wypełzł ból, ból większy, niż wszystko, co sobie wyobrazić można i wsparł się bezsilny na ramieniu najbliższego oficera...

Z mej włóczęgi zagranicą

BRUKSELA — SZTOKHOLM.

Napisał Jerzy Szwajcer (Jotes).

(Feljeton ten wyjęty został z książki Jotesa p. t. „Okiem karykaturzysty", wychodzącej z druku w m. wrześniu).

Pięć pięknych latek życia mego spędziłem w Brukseli między Uniwersytetem a gołemi modelkami w Szkole Sztuk Pięknych. W czasie wojny, która mnie w Belgji zaskoczyła i tam unieruchomiła, karykatura stała się dla mnie głównem źródłem utrzymania.

Momentem przełomowym w mej karjerze karykaturzysty, na terenie Belgji, były dwie kompozycje, wykonane na ławie uniwersyteckiej. Jedna z nich przedstawiała rozwój embrjoliczny mego profesora biologji i anatomji porównawczej, p. Lameere, uczonego światowej sławy, druga — rozwój gatunkowy profesora botaniki, również słynnego uczonego Massart'a. Pierwszy rysunek uplastyczniał teorję kształtowania się embrjonu, od najprostszej komórki poprzez wszystkie jej stadja rozwoju, przyczem starałem się w groteskowy sposób tak pokierować rozwojem komórek, aby już w stadjum „gastrula" można było zauważyć podobieństwo do profesora L.

Na drugim rysunku przedstawiałem ewolucję gatunku ludzkiego od małpy, poprzez gatunki homo sapiens, homo primigenus, aż do.. gotowego profesora Massart'a.

Obie karykatury miały na terenie uniwersyteckim szalone powodzenie i odrazu zwróciły na mnie uwagę. Później wykonałem jeszcze grupkę, przedstawiającą jednego z mych kolegów, bardzo zabawnego zresztą mulata z Venezueli, zalecającego się w pracowni krystalograficznej do koleżanki-studentki. Zaloty te, które zwracały w rzeczywistości ogólną uwagę i były tematem licznych plotek i żartów, powitane zostały w mej interpretacji z żywiołową radością.

Od tej pory byłem na uniwersytecie persona grata, co jednakowóż nie pomagało mi do obliczania ciężarów gatunkowych lub do układania formuł związków organicznych.

Karykatury moje niebawem przedostały się z terenu uniwersyteckiego na szersze wody. Zacząłem rysować do największego na tamtejszym gruncie tygodnika satyrycznego „Le Pourquoi Pas?". Nie zapomnę też nigdy uczucia dumy, jaką mnie napawało pierwsze honorarjum, odebrane w walucie obcej. Było to 25 fr. w 5-ciu wielkich srebrnych monetach. Pieniądze te chciałem sobie przechować na pamiątkę i przechowywałem je istotnie trzy dni, poczem musiałem wszystko oddać sklepikarzowi, wzamian za produkty spożywcze.

Z czasem zresztą doszło do tego, że za produkty te przestałem płacić brzęczącą monetą, używając jako znaku obiegowego — własnych karykatur. Krawcowi, szewcowi, cyrulikowi, cukiernikowi płaciłem rysunkami, które brano za dobrą monetę.

Gdym zaś zaczął się tak przyzwyczajać do opłacania wszystkich i wszystkiego karykaturami, doszło do tego, że gdy razu pewnego, jadąc tramwajem, konduktor zażądał ode mnie za bilet, machinalnie wyjąłem z teki rysunek i, wręczając go konduktorowi, poprosiłem o... resztę.



...Prosta rzecz. Ujrzawszy pański rysunek na blacie stołu, kazałem go sfotografować, fotografję powiększyć, oprawić w ramki i tu oto powiesić...

Był to wypadek, jeżeli nie zupełnie autentyczny, to, w każdym razie, mający wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

Jeżeli zaś chodzi o wydarzenie ściśle zgodne z prawdą, to pozwolę tu sobie opowiedzieć następujące zdarzenie:

Siedziałem pewnego wieczoru w jednej z typowo brukselskich knajp, w towarzystwie kilku znajomych. Przy sąsiednich stolikach zauważyłem parę dobrych typów. Jąłem je napół machinalnie rysować na marmurowym blacie stolika. Kim były osoby, które wówczas rysowałem, jak je rysowałem, czem i na czem rysowałem — z tego dalibóg nie zdawałem sobie sprawy. Towarzystwo, w którem się znajdowałem zajęte było ożywioną dyskusją i nie zwróciło uwagi na moje rysowanie.

Gdy po paru tygodniach zaszedłem znowu do tej samej knajpy, zauważyłem na ścianie nad stolikiem, przy którym siedziałem za pierwszym razem, większych rozmiarów, oprawioną w piękną ramę, karykaturę, przedstawiającą jakąś znaną mi z widzenia twarz.

— To nasz gospodarz.

Po chwili, ten ostatni, w swej własnej osobie, ujrzawszy mnie zbliżył się i z najmilszym uśmiechem, na jaki się mógł zdobyć, wskazując na wiszącą na ścianie karykaturę, rzekł do mnie:

— Ale to to się panu udało... mes compliments... w życiu jeszcze tak się nie uśmiałem. Teściowa moja, ujrzawszy tę twarz przyrzekła mi, że się mnie wyrzeknie. Bardzo panu jestem obowiązany...

— Nic nie rozumiem — mówię, szczerze zdziwiony. — Kto jest autorem tej karykatury?

— Zdaje mi się, że to pan... Wszakże to pan jest karykaturzystą „Dżot" (tak tam wymawiano mój pseudonim).

— Tak jest, ale ta karykatura... nie przypominam sobie gdzie i kiedy?

— Gdzie i kiedy? — zaśmiał się gospodarz. — C'est epatant! Ależ tu, na tym oto stoliku... — zamalował mi go pan cały od góry do dołu, niech pana bogowie kochają...

— Twarz pańska jest mi oczywiście znana — zacząłem się tłomaczyć, i być może że pana nawet rysowałem, ale skąd to się wzięło tu, na ścianie, w takich rozmiarach...

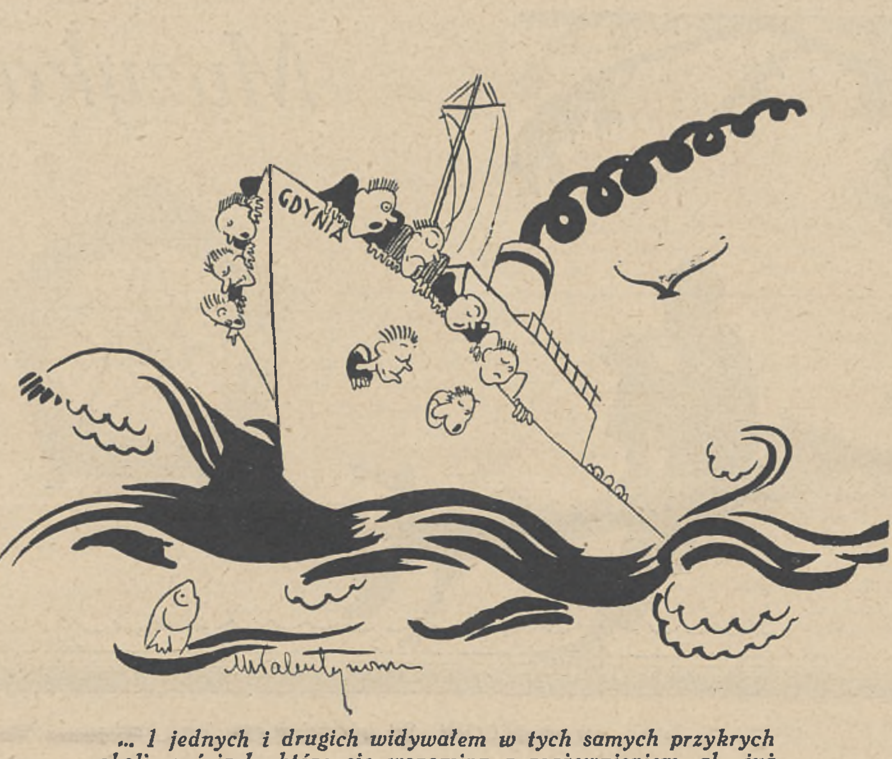
— Prosta rzecz. Ujrzawszy pański rysunek na blacie stołu, kazałem go sfotografować, fotografję powiększyć, oprawić w ramki i tu oto powiesić. Serdecznie panu dziękuję.

To wyjaśnienie zupełnie mnie zadowoliło. Pozostała jeszcze niezałatwioną kwestja praw autorskich, lecz rozmyślania moje w tej materji przerwał mi gospodarz słowami:

— Co pan każe sobie podać? Będę bardzo rad jeżeli pan zechce być moim stałym gościem. Kredyt będzie pan miał u mnie zapewniony.

Z uprzejmego tego zaproszenia postanowiłem skorzystać, używając odtąd stale, choć nie nadużywając gościnności gospodarza.

Po roku na ścianach kawiarni wisiała już dość pokaźna galeryjka mych karykatur, będąca równoważnikiem odpowiedniej ilości wypitego piwa i kawy, tudzież spożytych sandwiczów.



... I jednych i drugich widywałem w tych samych przykrych okolicznościach, które się wspomina z rozżewnieniem, ale już na lądzie mniejwięcej stałym...

*

W Sztokholmie byłem dwa lata temu. Udałem się tam drogą morską, na statku „Gdynia". Spacerek taki, trwający trzydzieści kilka godzin w jedną stronę, może być rozkosznem spędzeniem czasu, o ile morze jest dobrze usposobione. Nie daj Boże jednak, gdy jest inaczej. A było właśnie inaczej, gdym ja brał udział w wycieczce. Malutki, 500-tonowy stateczek bujał się w sposób niemożliwy. Zabawa taka byłaby dobra w Luna Parku, gdzie się człowiek pobuja parę minut i zejdzie, albo, gdy zechce, — huśtać się może dalej. Na morzu jednak nie masz wyboru. Wsiadłeś, to jedź aż do skutku. A skutek bywa zazwyczaj fatalny. Napróżno powtarzałem sobie w tonie pogróżki: „Bujać to my, a nie nas!" Nic nie pomagało. Kiwaniu nie było końca. Sceny i obrazy, jakie danem mi było oglądać w czasie tej długiej podróży: boleśnie wykrzywione lub beznadziejnie znudzone żółtozielone maski pasażerów, do niedawna jeszcze tak rozbawionych i dowcipkujących na temat morskiej choroby, ich wdzięczne, gibkie wychylanie się ku morzu, ich chód po pokładzie, przypominający charlestona — wszystko to były pierwszorzędne tematy.

I byłbym je niewątpliwie utrwalił na papierze, gdybym był mocno przymocowany do lądu stałego. Tutaj jednak rysowanie było niemożliwe, bo wszystko z rąk wypadało, a wszyscy wypadali z siedzeń. Mój sąsiad z kajuty, miły zresztą na lądzie stałym człowiek, — autentyczne — wywrócił się wraz z fotelem, na którym siedział i zatoczył się dwa razy.

Przeszkody do rysowania były zresztą natury nie tylko technicznej, ale i moralnej, o ile można nazwać *moralną* przeszkodą tę okoliczność, że kogoś mdli.

Najzabawniejsze, dla dobrze się czującego widza, działy się sceny w bufecie, położonym, o ironio, na czubie okrętu, poddanym najsilniejszemu bujaniu. Pospolitym tu był widok osoby, która nieraz po drugiem daniu opuszczała towarzystwo „na chwilę" i więcej się już nie pokazywała, zatrzymana jakiemiś niecierpiącemi zwłoki sprawami. Inni znów, choć czuli się zupełnie niewyraźnie i byli zupełnie bez apetytu, jedli wiele się dało, nie chcąc dawać satysfakcji dzierżawcy restauracji, którego humor poprawiał się zawsze wtedy, gdy inni go tracili. Zresztą, przecież za jedzenie zapłacili i to grubo.

Wśród pasażerów były dwa obozy, wyznające dwie różne metody. Pierwszy wychodził z założenia, iż aby uniknąć choroby, trzeba dużo jeść; drugi — iż trzeba mieć idealnie pusty żołądek. I jednych i drugich widywałem w tych samych przykrych okolicznościach, które się wspomina z rozżewnieniem, ale już na lądzie mniej więcej stałym.

Zajechało się przecież jakoś do Sztokholmu. W pięknem tem, wielkiem i czystem mieście wszystko jest jakoś dziwnie na swojem miejscu. Dlatego też karykaturzysta nie ma tam wielkiego pola dla obserwacji. Typy męskie, zarówno jak i kobiece są mało zróżnicowane. Rasa tamtejsza jest zdrowa, dobrze rozwinięta fizycznie. W tym kraju blondynów, mężczyźni mają przeważnie twarze normalne, jakgdyby odlane z pewnego wzorowego szablonu; golą się starannie i mają krótki zarost. Mieć ciemny kolor włosów jest tam podobno policyjnie wzbronione.

Kobiety są wysmukłe, zgrabne, czyste, niemalowane. Wszystkie prawie mają ładne, równe nogi, a co najważniejsza, nie widać nóg pokracznych, jakie się u nas tak często widuje nie tylko w Krynicy i Ciechocinku.

U nas wprawdzie spotkać można na ulicy kobietę tak piękną, że człowiek staje oniemiały, ogłupiały z zachwytu, ale też, dla równowagi, Opatrzność zaopatrzyła nas i w typki niewiast, stworzonych jakgdyby umyślnie dla propagandy celibatu i czystości obyczajów, dla wykorzenienia z rodzaju męskiego, wszelkich nieprzystojnych pokus.

W Polsce skala urody kobiecej jest olbrzymia, poprostu chce się przypuszczać, że nie jest to jedna i ta sama płeć, że popełniono tu jakiś szantaż. W Szwecji natomiast panują pod tym względem stosunki bardziej demokratyczne. Tam nie widać wprawdzie na ulicy oszałamiających piękności, spotyka się rzadko kobiety o takim wdzięku i uroku jaki cechuje Polkę (gdy się ta uda Panu Bogu), lecz z drugiej strony niema tam też żadnych osobliwości rodzaju żeńskiego, jakie u nas są zjawiskiem dość często spotykanem.

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

WARUNKI TURNIEJU.

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Irena Łukaszewiczówna.

(fot. Van-Dyck.)

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Moją kandydatką jest p. Irena Dalma - Łukaszewiczówna, artystka baletu Opery Warszawskiej i gwiazdeczka filmowa.

W jej arystokratycznej, pełnej nieziemskiego czaru urodzie dziewczęcej nie ma nic z pozy. Wszystko w niej jest naturalne, jak ten przedziwny smutek, który się czai w oczach, jak ten skupiony wyraz, który bije z jasnej twarzyczki. Smagła, zgrabna, jak Narcyz, wybitnie uzdolniona i nader skromna, czyż nie jest idealnym typem, wymarzonym przez każdego mężczyznę?

Czyż redakcja „7 dni" nie dała temu wyrazu, reprodukując jej czarującą sylwetkę na okładce Nr. 32-go?

Uroda iście książęca. Jakże łatwo można ją sobie wyobrazić z djademem na jasnej główce. W dzisiejszych czasach deprawacji i spospolitowania, taki typ i taka uroda, to zjawisko prawie niespotykane.

Dr. Juljusz Wroński.

Kupon № 9 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.


Gen. Burhart - Bukacki w rozmowie z szefem misji francuskiej komandorem Cellier.


Generał Heye powraca na dawne stanowisko, szef niemieckiej siły zbrojnej.

Co słychać na świecie

Kilka dni nas dzieli od daty otwarcia 10-tych Targów Wschodnich we Lwowie. Pomimo ciężkich warunków, w jakich musiały się rozwijać — zamknięcie rynku rosyjskiego i chwilowa nieprzystępność rynku rumuńskiego oraz, co nie mniej fatalnie musiało hamować wysiłki dzielnych inicjatorów Targów — zniszczenie i zubożenie m. Lwowa, osiągnięte wyniki można uważać za nadzwyczajne. Cyfrowe dane o ilości wystawców, pawilonów, frekwencji publiczności i t. p. dowodnie świadczą o tem, a najwymowniejszym bodaj argumentem o celowości instytucji jest wzrastający udział wystawców zagranicznych (z 19.97 proc. w r. 1921 — do 34.84 proc. w r. 1928).

O pełnym rozkwicie Targów Wschodnich, jak to wskazaliśmy wyżej będzie można mówić dopiero wtedy, gdy rynki Wschodu staną szeroko otworem przed nami, a Lwów odzyska swą historyczną rolę bramy wypadowej dla ekspansji polskich sił gospodarczych, oraz dla tranzytu zagranicznego na Wschód. Chwila ta nastąpi — prędzej, czy później, a wówczas społeczeństwo zrozumie, jak wielkie zasługi poniosła garstka ludzi, która przed 10-u laty podjęła zrealizowania tego śmiałego przedsięwzięcia.

Stwierdzić należy przy sposobności pewien przykry objaw — niedoceniania przez sfery gospodarcze b. Kongresówki znaczenia Targów Wschodnich, pewną abstynencję w braniu bezpośredniego udziału w wystawie. Tłomaczy się to nagminnie panującym brakiem zrozumienia dla sprawy reklamy, traktowanej niewiadomo dlaczego po macoszemu. Piszący te słowa niejednokrotnie brał udział w organizowaniu w naszym kraju wystaw lub targów i obserwował, z jak wielkim trudem akwirowano firmy.

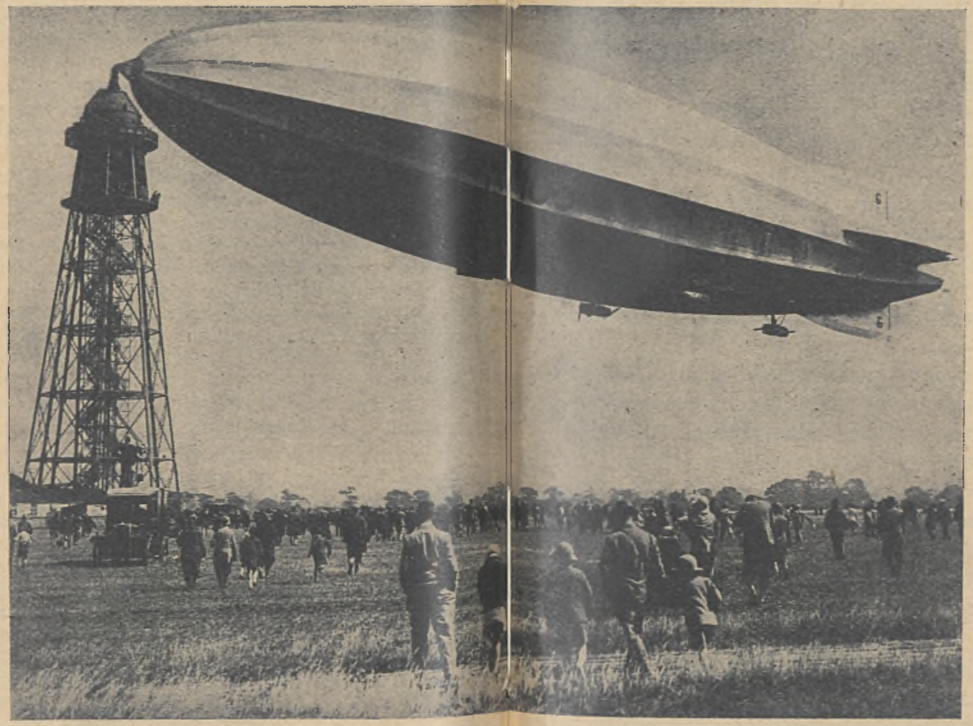
Tegoroczne Targi, mimo ciężkiego kryzysu gospodarczego, zapowiadają się doskonale. Po ulewnym sierpniu pogoda nawet — miejmy nadzieję — może nam dopisać. I znów, jak co roku, tłumy ludzi ze wszystkich stron kraju ściągną do cudnego Lwowa.

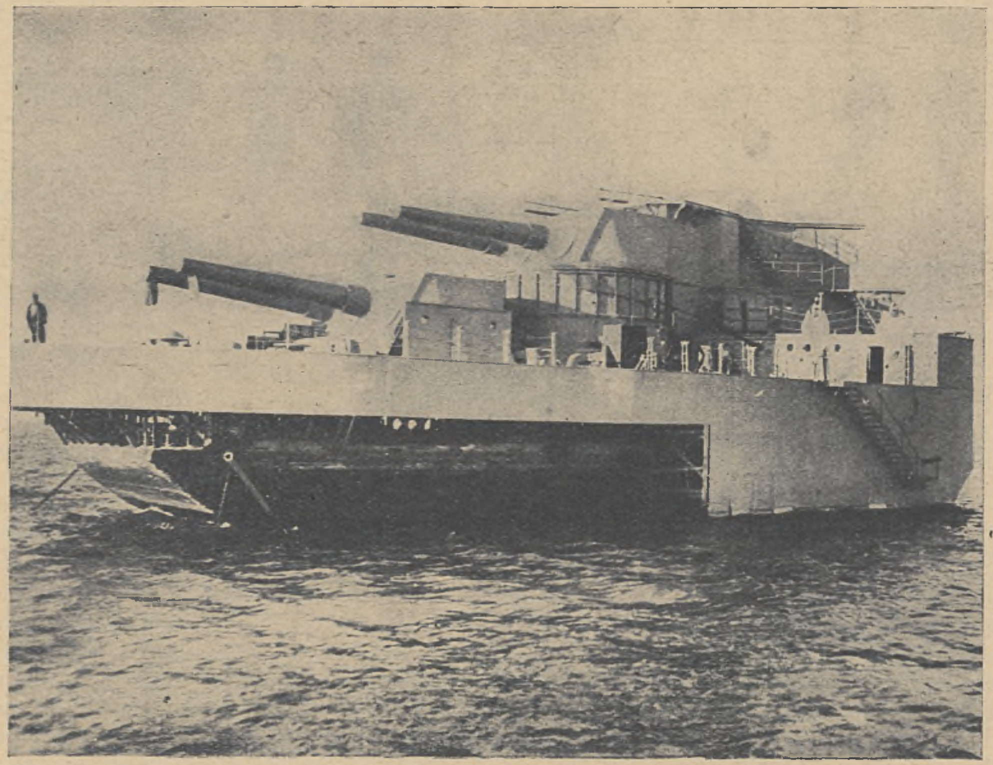
*

W sobotę, d. 23 b. m. gabinet p. premjera Sławka postanowił podać się do dymisji, co p. Prezydent Rzplitej zaaprobował, powołując p. marsz. Piłsudskiego do sformowania nowego gabinetu.

W poniedziałek p. Prezydent Rzplitej podpisał dekrety nominacyjne, któremi powierzył stanowisko prezesa rady ministrów i ministra spraw wojskowych p. marszałkowi Piłsudskiemu, oraz poszczególne resorty wszystkim b. członkom gabinetu p. premjera Sławka. Ponadto w skład rządu wchodzi dotychczasowy szef gabinetu ministra spraw wojskowych ppłk. dypl. Józef Beck — w charakterze ministra bez teki.

Prasa zagraniczna omawia zmianę gabinetu w Polsce naogół w tonie spokojnym i rzeczowym.


Nowy olbrzym angielski R. 100, po swym powrocie z Ameryki, w porcie Cardington.


Oto model pancernika zbudowany w Los Angeles dla filmu morskiego.


Kpt. kawalerji chilijskiej Rodriguez przybył do Warszawy, celem wręczenia nagrody Rep. Chile, na konkursy hippiczne.

Pod włos

ŚWIT KULTURY.

Mój przyjaciel, zażywny Grosik był w tych dniach oburzony.

— Co za skandal! biadał. — Co za brak kultury! Żeby gwizdać w kinie! To tylko w Polsce może się zdarzyć! Jesteśmy krajem barbarzyńskim!

Chodziło mu o wygwizdanie nędznego obrazu w jednem z wielkich kin stołecznych.

Istotnie był to fakt zdumiewający! Co się stało naszej tak potulnej publiczności, że się wreszcie wściekła i zaprotestowała przeciw nabieraniu?

— Brak kultury! — orzekł Grosik.

— Byłem kiedyś w kinie w Paryżu. — Przed doskonałym obrazem, jako „hors d'oeuvre", dało folklorystyczną wkładkę: trochę widoków i typów z Rumunji. Typy z ekranu miały robić propagandę swego kraju, lecz typy, które tę wkładkę nakręciły, zrobiły to tak nieudolnie, że naraziły się srodze typom z widowni.

Wśród publiczności w połowie obrazu zaczął się niepokój, a po chwili wszystkie rzędy i miejsca zaczęły zgodnie gwizdać. A było to przecie w Paryżu, w jednem z najwytworniejszych kin...

Nikt tego nie uważał za brak kultury.

Mnie awantura kinowa ucieszyła. — Nareszcie nasz widz się obudził! Nareszcie zaznaczył swój żywy stosunek do sztuki! Nareszcie dowiódł, że nie jest bałwanem, któremu można wszystko pokazać, bo i tak się na niczem nie rozumie.

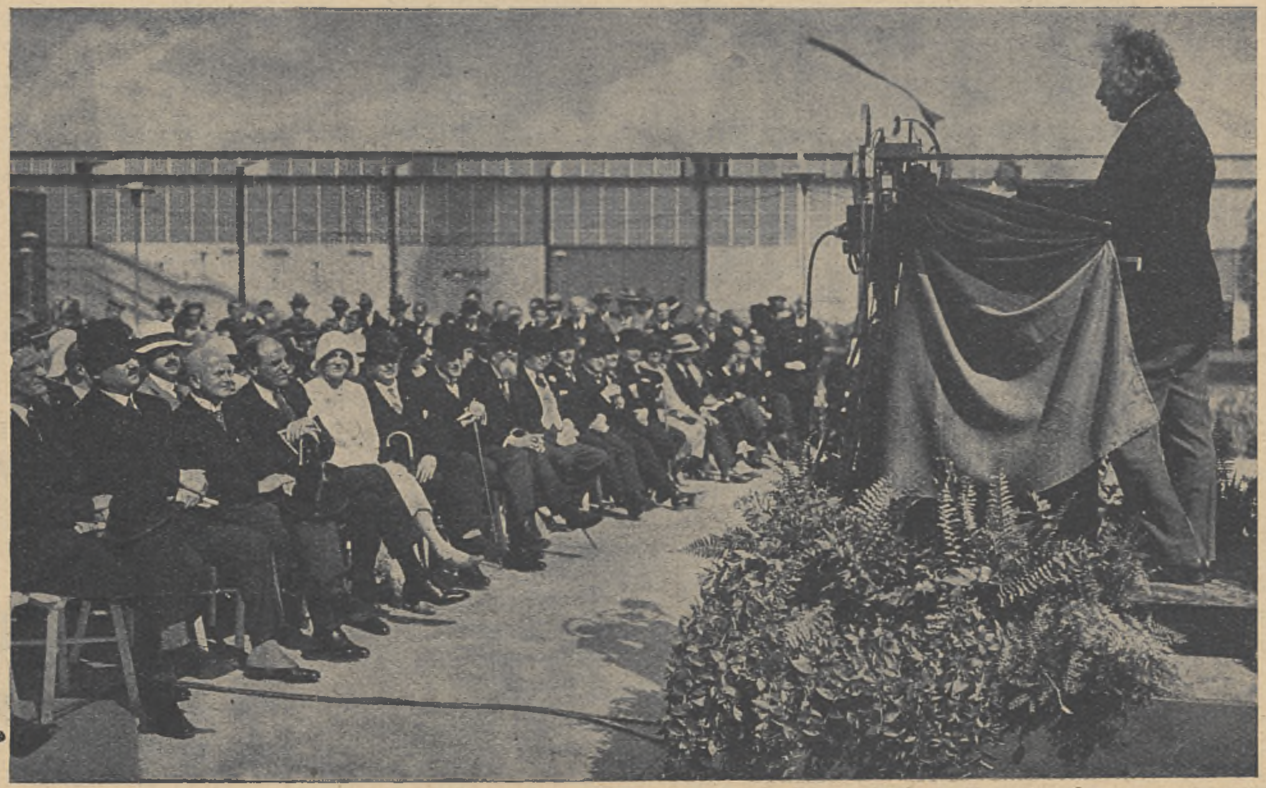
Dzieje się coraz lepiej w Polsce.

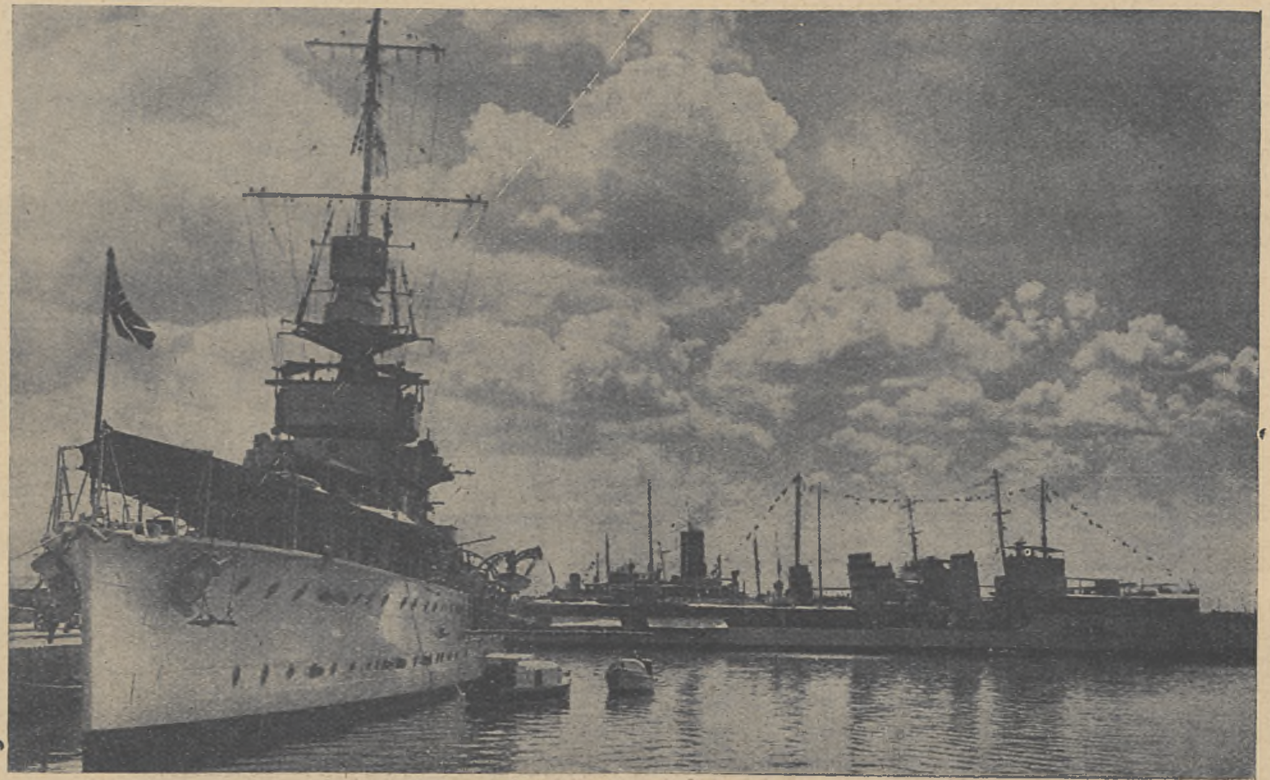
Może wkrótce dożyjemy szczęśliwych czasów, że publiczność w kinie ryknie, gwiźnie i zlikwiduje wreszcie tabetycznego żórawia, który tak bezczelnie w swojem artystycznem niedołęstwie inauguruje kroniki tygodniowe [illegible]ała...

A może kiedyś wygwiżdżą jakąś nudną piłę w Teatrze Narodowym i w ten sposób zbudzą ze snu dyrekcję.

Nadchodzi świt kultury... Aktywnej, nie biernej.

Bonzo.


Prof. Albert Einstein otwiera swem przemówieniem wystawę tele-radjową w Witzleben.


Dywizjon angielskiej floty wojennej zawitał w tych dniach do portu w Constanzy.



Hurra!!...

JAN IGNACY TARG.

Bitwa przed mikrofonem

(Od specjalnego „Korespondenta wojennego".)

Jeszcze nie ucichły działa, nie przestały grać „maszynki", gdy oparty o pień ściętego drzewa piszę swą pierwszą i ostatnią korespondencję z „pola bitwy". Całą „grozę" dopiero co minionych chwil mam jeszcze w sobie. Ucho moje, rozdygotane wybuchami szrapneli i granatów, z trudem przyzwyczaja się do ciszy. Oczy, pełne dymu, dostrzegają tylko jakieś łuski, chełmy, bagnety, manierki. *P-o-b-o-j-o-w-i-s-k-o!*

A ktoś nieuświadomiony byłby skłonny przypuszczać, że chodzi o jakąś bitwę przed mikrofonem warszawskiego studja, gdzie Tadeusz Bocheński toczy boje (oczywiście na języki!) z Tadeuszem Strzetelskim o „wpływy" wśród nadobnych radjosłuchaczek. Broń Boże! To była bitwa, której odpowiednika daremnie szukać w historji wojen. Jako naoczny świadek i „Korespondent wojenny" znam dokładnie jej przebieg i wrażeniami, które odniosłem pragnę się podzielić.

Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie!

Uprzednio powstał projekt. Zrodził się w czterech ścianach pewnego, małego pokoju w Sztabie Głównym. Przeszedł wiele instancyj, aż wreszcie o losach jego, jak o losach wszelkich wielkich bitew zadecydowały wyższe czynniki wojskowe. I wkrótce po drutach telegrafu, po klawiszach Hughes'a biegły w odległe strony: rozkazy, rozkazy, rozkazy!... Jak na prawdziwą wojnę...

Zmobilizowano: bataljon manewrowy, 28 p. art. polowej, 1 p. szwoleżerów, 1 p. czołgów.

Zadaniem tych oddziałów było: rozegrać fragmenty wiekopomnej bitwy, które byłyby przypomnieniem minionych chwil.

Nadszedł wreszcie dzień, który datą swoją budził tyle, tyle wspomnień...

Nasz skromny Ford sunął po piaszczystej drodze, jakby stworzony do „cross countr'y". Pełen emocji pytałem listków akacji, jak za czasów pierwszej miłości „uda się — nie uda".

— Cóż? — pomyślałem sobie. — Żołnierz polski bić się umie, ale czy przytem jest... radjofoniczny, to doprawdy duża zagadka.

Byliśmy na 15 km na północo - wschód od Warszawy. Poligon rembertowski wrzał pogwarem bojowym.

Mijały godziny za godzinami na uciążliwych próbach, korektach, „powtórkach".

Pozwolono jedynie w spokoju zjeść „ostatni" obiad przed bitwą...

W namiocie przy amplifikatorach nawiązywano łączność ze stolicą. Oddziałom wydawano ostatnie rozkazy. „Komendę" nad mikrofonami objął Zdzisław Marynowski. Uwaga! Zaczynamy!

Jesteśmy na wysuniętej placówce. Słuchamy gawędy żołnierskiej, jednej z tysiąca, prowadzonych w owym czasie na froncie. Padają słowa niewyszukane, pulsujące życiem okopowem, znamionujące wojnę... Z oddali dochodzą pojedyńcze strzały. Wreszcie głos ma karabin maszynowy. Przez długą chwilę siecze krótkiemi serjami i... cisza.

Nie ma czasu na poszczególne epizody. Spieszy się nam do „ofenzywy". A tymczasem w myśl rozkazu Naczelnego Wodza z 6 sierpnia 1920 r. nastąpiło przegrupowanie wojsk.

Przed mikrofonem suną kolumnami: piechota, akcentując tupotem nóg, brzękiem manierek i sprzętu „trud" marszu, artylerja, ciężarem jaszczów, dział, dudniąc po brukowanej drodze, w końcu kawalerja, dążąca klusem na wyznaczoną pozycję...

I nim, ostatnie echa minionych oddziałów znikły gdzieś w przestrzeni, na falach eteru rozgorzał bój.

Była to „ostatnia rozpaczliwa" obrona przed mikrofonem... Warszawa „w niebezpieczeństwie". P. Marynowski nie traci jednak nadziei... Stłumionym głosem uspakaja „strwożonych" radjosłuchaczy. Mówi, mówi, mówi. Ale daj mu Boże zdrowie, przynajmniej nie skłamał!...

Nastąpił moment ofenzywy.

Pozycja artylerji. Komendy padają z błyskawiczną szybkością: *Kierunek, przeziernik, celownik, 4000, na prawo, oddane, powtórzyć!...* Mało, powtórzyć — podwoić, potroić ogień, bo to, co się słyszy, jest słabem, b. słabem odbiciem. Ale co robić?

Nasze polowe armaty obliczone są na skutek, a nie na efekt, tłumaczy mi „na migi" dowódca baterji. Że w mikrofonie „nie słychać", to tylko śmiechu warte, nie są przecież na popis... Zresztą artylerja nie decydowała o naszej „bitwie". Liczyliśmy na piechotę. Ta nigdy nie zawodzi...

Słychać jej nieustępliwy grzechot. Ręczne i ciężkie karabiny maszynowe mieszają się z sobą, dając odgłos prawdziwej wojny.



Sztab „Bitwy Warszawskiej" przez radjo.



Baterja na pozycji.

(fot. Pikiel.)

Natężenie ognia z chwili na chwilę wzrasta. Mam wrażenie, że mikrofon odmawia posłuszeństwa... Ale to nic. Przecież „zwyciężamy"!...

Andrzej Wodzinowski „chce" czołgów. Nie można mu tej przyjemności odmówić... Więc suną po nierównym gruncie te potwory ze stali, biorąc pod siebie każdą wyrwę, dół czy drut kolczasty. Nie uznają żadnych przeszkód. Zadaniem ich: umożliwić piechocie bezpośrednie natarcie na wroga.

Warkot silników głuszy wszystkich wokoło na dużej przestrzeni.

To musiało być *radjofoniczne!*

Głośnem „hurra" zakończono zwycięski szturm. „Wróg" pierzchnął „w popłochu". Z oddali doszedł mię sygnał na trąbce. To szwoleżerowie. „Barwny ich strój, amaranty przypięte pod szyją". Pognali „wściekłym" galopem, jak do prawdziwej szarży. Został po nich jedynie tuman kurzu i... jeden ułan, któremu koń nie służył... La guerre comme a la geurre!

Wojna skończona. Zwyciężyliśmy. Hip, hip — hurra, hurra hurra!...

Ktoś jeszcze czytał rozkaz, ktoś inny przyjmował defiladę „chłopcy maszerowali — muzyczka grała", aż wreszcie pozwolono żołnierzom śpiewać przed mikrofonem. Wyobrażałem sobie, że byli objektem — zazdrości niejednego sopranu, przed którym mikrofon zamknięto...

A mówiłem, że „kto chce rozkoszy użyć, niech do wojska idzie służyć!...

Impresje teatralne





Pp. Rotter - Jarmińska, Balcerkiewiczówna, Larys - Pawińska, Justjan i Solarski. W owalu Hnydziński. (fot. Malarski.)

TEATR NARODOWY: „Dzieje Józefa", komedja w 4 aktach Włodzimierza Perzyńskiego.

Gdy Perzyński napisał tę sztukę 17 lat temu... wszystko było inaczej...

Inny, oczywiście, miała wtedy ta komedja posmaczek. Dziś — „wiedza tajemna" strasznie się rozpleniła i zdemokratyzowała, a kokotek w ówczesnym sensie też już niema... Zniknęły wraz z dorożkami na gumach... Ani jednych, ani drugich niema potrzeby żałować... Wolimy wehikuły i kobiety dzisiejsze... Z jednemi i drugiemi dochodzi się do celu szybciej, łatwiej i... taniej...

Natomast, szkoda, że wykonanie aktorskie już nie było takie, jak wówczas... Różnica jest akurat taka sama, jak między Junoszą a... Hnydzińskim, obecnie „kreującym" rolę tytułową... Obsada niewieścia lepiej się trzymała. Broniszówna potrafiła i tu dać majstersztyk gry aktorskiej i charakteryzacji (nawet nogi miała ucharakteryzowane), przemiła była Balcerkiewiczówna, wytworna — Larys - Pawińska, wyśmienita — Chaveau. Ratuje bardzo wiele — wytrawna reżyserja mistrza Śliwickiego. Trzeba stanowczo jak najczęściej powierzać mu reżyserję. Wyjdzie to Teatrowi Narodowemu bardzo na dobre...

TEATR MAŁY: „Pan Lamberthier", sztuka w 3 aktach Ludwika Verneuila.

Verneuil ma szczęście... Już dwie sceny warszawskie grają teraz jego sztuki...

Ta w Małym — to sztuka pedagogiczna. Maluje, z całym objektywizmem, zresztą, dwie najokropniejsze wady ludzkie, pokazuje do jakich strasznych doprowadzają skutków, by odstraszyć od nich społeczeństwo ludzkie.

Wady te są najściślej ze sobą związane: zazdrość i kłamstwo. Zazdrość nieuchronnie rodzi kłamstwo u osoby podejrzewanej o niewierność. Co zaś zrodziło zazdrość? Jeżeli wierzyć Szekspirowi („Otello"), to „zielonookie straszydło" samo sobie rodzi i samo siebie pożera...

Zwykła kolej rzeczy. Z czasem, gdy mężczyźni pozbędą się nałogu zazdrości, kobiety zaś już nie będą zmuszone do wybiegu kłamstwa... Verneuil już nie będzie potrzebował pisać takich sztuk...

Narazie zaś niech się cieszy że w Warszawie jego sztukę grał taki wymarzony duet, jak Modzelewska - Węgierko. Stworzyli arcydzieło sztuki aktorskiej. Zwłaszcza ten smutny uśmiech Modzelewskiej, pełen goryczy i tragizmu, prawdziwy śmiech przez łzy nieprzelane — to szczyt artyzmu aktorskiego...

Dekoracje Śliwińskiego wybitnie gustowne. *H. Liński.*



Pp. Modzelewska i Węgierko. (fot. Brzozowski.)

ZYGMUNT KAWECKI

Iść do wróżki — czy nie?

(Autobój psychiczny)

I. Glossa intymna. Zawsze mnie interesują charaktery ludzi, w których ręku znajdują się moje weksle, dojrzewające do protestu.

Nigdy, ale to *nigdy!* powiadam wam, nie byłem łasy wiedzieć, co będzie ze mną za rok, ani nawet co będzie ze mną za pół godziny. Nie jestem ciekawski, a mój świetny, fasadowy *nos* bodzie *tylko powietrze* — i nigdy nie rozpycha sobą kurtyny zasłaniającej rzeczy przyszłe.

Nos mój powoduje się w tym wypadku następującą filozofją: — Ty — (powiada mój *nos* do twarzy, na której króluje, i do reszty mej postaci, na którą to resztę i postać rzuca spory cień) — otóż.... ty, powiada, zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że na skorupce ziemskiej jesteś takim samym bacylem, jak inny, kolegabacyl na jakiejś skórce sera szwajcarskiego. Byłaby - to wielka pretensjonalność ze strony bacyla na serze, aby w chwili, gdy człowiek zjada go z masłem i bułeczką — aby w takiej biologicznej chwili wygłaszał w drodze do brzucha, monolog o predestynacji, fatalizacji, mojrze, kismecie — i wogóle astrologji.

— Ty (mówi ciurkiem mój *nos*) — rozumiesz, że zjadany przez *Czas*, albo inaczej *Wieczność*, lepiej zrobisz, gdy zamiast mizdrzyć się do Opatrzności, która nie ma zdrowia do zajmowania się każdym bęcwałem — użyjesz w całej pełni *Radości Nieznania Jutra, Radości Przypadku we wszystkiem* — i *Radości Nienarzucania się Przeznaczeniu.*

— Ty (konkluduje moje gasidło) — nie zaprzeczysz chyba, że ludzie, którymi masowo opiekuje się Los i Fatum, rodzą się raz na tysiące lat! Taki Ajschyl, taki Plato, Michał-Anioł, Newton, Ossendowski, Ordyński — oto są panicze, wokół których może kręci się *Mojra.* Ale jakieś tam *coś!... pyłek!...* ma mieć prawo interpelować Niebo, czy go będzie gnębił artretyzm i komornik — albo czy wygra na loterji Ligi Morskiej, Rzecznej i Potocznej?! No, chyba taki nie jesteś?

— Nie jestem, Nosku, odpowiadam. Pewnie, że nie jestem. Ale myślę zawsze, że jeżeli ludzie napastują niebo i wszystkich jego świętych lokatorów — *nie* z obmierzłej chciwości grosza, karjery, lub z pragnienia szkody bliźniego — ale z chęci ulżenia *drugim* w zbyt wielkim ciężarze życia, to dobry Pan Bóg ma swe ucho nawet dla najmarniejszego robaczka, choćby ten gad prosił go o pomoc bezwyznaniową i po esperancku. Ja — jakto wiesz dobrze mój Nosku, nigdy nie zwracałem się do Nieba, po forsę i mieszkanie, albo po węgiel na zimę — tylko po oświecenie mnie co do charakteru osób, na których mi zależało. Osobiście nie jestem ciekaw nigdy, czy wrócę do domu żywy po rozkopanej ulicy, czy zobaczę swego tapczana doczesnego, czy mnie spotka Coś lub Nic — i wogóle nie potrzebują ani Senników egipskich, ani astrologów, ani Dziejów Józefa, ani chiromancji, ani wróżek, ani Pyffelo, ani Szkolnika, ani Kuli szklannej, ani piasku — ale zdrowia, radosnego zdrowia, które nie żyje ani w tył, ani naprzód, tylko pełnią tego, co się zwie *Teraz!*

— Aa! wobec tego, powiada Nos, zrób eksperyment. — Jeżeli pragniesz czego nieegoistycznie — to będzie przepowiedziane i spełnione. Wal na ulicę Poznańską 21 m. 55. Tam mieszka znana wróża Sabira — z rodu Tatarskiego.

Spojrzałem na mego *Nosa*, aż ryknąłem — i potem — jako że rzeczywiście pragnąłem nieegoistycznie dobra dla jednego pana, umyśliłem polecieć na Poznańską 21, do wróży Sabiry z rodu Tatarzynów.

II glossa intymna. Pan Grynbaum, który ma mój protestowany weksel na 340 złotych — powinien mieć oprócz tego sumienie dla literata.

W drodze na ulicę wróżki — przypomniałem sobie, że nawet czytałem kiedyś artykuły o jasnowidzącej pannie Sabirze.

— Bóg nad nami, panienkami — powiedziałem sobie tedy — i oto stanąłem już przed drzwiami Sabiralnemi.

Ale tu rozpoczęła się we mnie bitwa psychiczna. Iść czy nie iść? Co prawda, bardzo pragnąłem dobra dla jednego pana, to jest... chciałem, aby nie okazał się wobec mnie świnią — i nie pozbawił mnie resztek zaufania do ludzkości współczesnej. Co prawda, w interesie tego pana leżało właśnie, aby być świnią. Ale myślę sobie... pójść pytać Sabiry, czy jeden pan jest taki, czy siaki — to za mała sprawa.

No i patrzcie! Pod drzwiami, w obcej kamienicy, na schodach, przekonałem sam siebie i — obróciwszy się na pięcie, wracam zamyślony do domu.

*

Jak mam zgryzotę, najadam się zdrowo i kładę się spać. Wróciwszy postąpiłem, jak wyżej. Ale, że sny pochodzą z brzucha, więc nikogo nie zdziwi, że miałem sen obfity w senzacje.

Więc tak. Naraz widzę przed sobą i tapczanem, istność bladawą, z czarnymi, skośnymi oczyma.

— Jestem Sabira, p'ada istność. Stałeś przed chwilą pod moimi drzwiami — i odszedłeś, choć strasznie chciałeś się dowiedzieć rzeczy obchodzącej cię mocno. Dbasz niepomiernie oto, aby ludzie byli dobrzy, cierpliwi i szlachetni — otóż wiedz astralnie, odemnie, że kto ci uczyni w obecnej konjunkturze Nieba, jakąkolwiekbądź przykrość, umrze w 21 dniach — o godzinie 7 wieczorem, na ulicy.

III glossa intymna. Drżę o pana G. który licytuje mnie za weksel. Uprzedzić go czy nie?

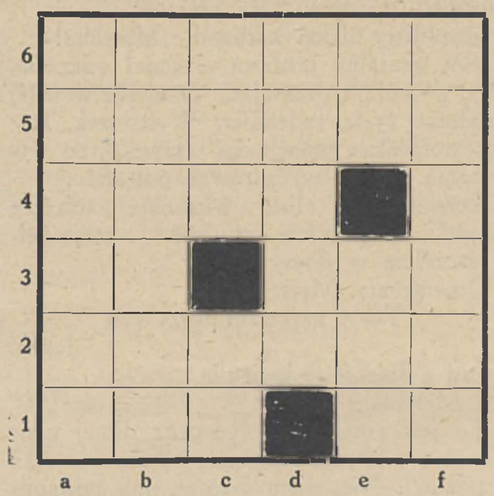
— Sabiro! Ha! krzyknąłem — spadłszy z tapczana na ziemię, obudzony napowrót do życia i odczuwania bólu w pośladku.

IV glossa intymna. Szkoda mi pana G. Uprzedzę go — i dobiorę do 340 złotych — jeszcze 160 zł. W ten sposób on będzie miał u mnie swoje własne życie —i — 500 złotych.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



ZNACZENIE SŁÓW

Wyrazy pionowe.

a6 Planeta
b6 Prymitywny statek
c6 Okres czasu
c2 Nazwa litery
d6 Zaimek wskazujący
e3 Lew w jęz. staroż. (wspak)
f6 Wyrzekający się rzeczy pociągających (wspak).

Wyrazy poziome

a6 Ubytek
a5 Zapach
a4 Zaimek (żeńskiego rodzaju)
a3 Określenie miejsca (wspak)
d3 Część doby
a2 Zamieszanie, krzątanina
a1 Zaimek osob. (3 przyp.)
e1 Nuta

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 ZŁOTYCH

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 10 września b. r.

KRZYŻ MAGICZNY

Poniżej podajemy fenomenalny krzyż magiczny, ułożony przez p. Czesława Kozłowskiego. Ze względu na to, że większość słów, zawartych w nim, jest trudna do odgadnięcia, podajemy go poza konkursem, przeznaczając oddzielnie 2 książki beletrystyczne jako nagrodę za rozwiązanie (do rozlosowania). Termin 10-dniowy.

A A A A A A
A A A A A D D D
D E E E E E E E
E E G G G I I L
L L L L L L N N
N N O O R R R R
R R S S S S T T
T V W W Y Y

1) Zastygła rozgotowana masa
2) Uczony włoski, kardynał, wielki przeciwnik Lutra, zmarł w 1542 r.
3) Poeta hiszpański
4) Rzeka i miasto (fonet) we Francji
5) Poeta niemiecki
6) Ryby, poławiane w Wołdze.

Z podanych liter utworzyć 6 wyrazów jednobrzmiących pionowo i poziomo (8 literowych).

NAGRODY KSIĄŻKOWE

za rozwiązanie logogryfu z N-ru 30 otrzymują p. Zdzisław Fischbach, Ostrów Poznański, ul. Kościelna 5, oraz p. Helena Mokrzycka, Drohobycz, ul. Polna 16.

NAGRODY KSIĄŻKOWE

za rozwiązanie krzyżówki z Nr. 31 otrzymują pp. Marjan Głowacki, Częstochowa, ul. Mała 9; S. Stankiewicz, Strzemieszyce, dom kolejowy Nr. 7.

NAGRODY 25-ZŁOTOWE

W wyniku losowania, które odbyło się w dn. 25 sierpnia w lokalu redakcji, za rozwiązanie logogryfu z Nr. 30 otrzymuje nagrodę w wysokości

25 złotych

p. Eugenja Wachowiczówna, Niwiski, poczta Siedlce.

W tym samym dniu rozlosowano nagrodę w wysokości

25 złotych

za rozwiązanie krzyżówki z Nr. 31. Przypadła ona p. Ewie Dąbrowskiej, Poznań 5, Wierzbięcice 30.



Briand segreguje korespondencję paneuropejską przed sesją Ligi Narodów.
(kar. Senep — „Candide")

A śledztwo biegło swym trybem, otoczone obecnie wałem tajemnicy, strzeżone bacznie przed okiem reporterów, agentów Trustu Elektrycznego, czujnych jak wyżły ludzi z G. P. U., Intelligence Service i innych tajnych policyj zagranicznych.

Dane śledztwa potwierdzały pierwotne przypuszczenia ,iż Helius i tylko Helius był sprawcą kradzieży dokumentów. Natomiast dociekania w kierunku wykrycia kontaktu pomiędzy Heliusem a agentami obcego państwa, ewentualnie Trustu Elektrycznego — utkwiły na martwym punkcie. Rzucono inną hipotezę: rywalizacji pomiędzy profesorem a jego asystentem. Na tej drodze posunięto się daleko, ale jedynie metodą dedukcji; dane empiryczne nie potwierdzały przypuszczeń. Przeciwnie, dziennik profesora Merkla — jedyna niestety spuścizna po genjalnym uczonym —, prowadzony w formie krótkich zapisków aż do dnia 5 kwietnia 1962 r. zaprzeczał kategorycznie tego rodzaju hipotezom.

Oto odnośny ustęp dziennika:

Dn. 21 marca...

...dziś dopiero, po tym... (słowo nieczytelne) tryumfie dnia wczorajszego, dopiero uświadomiłem sobie, iż właściwie zawdzięczam Heliusowi... Ta wczorajsza scena... Helius, płaczący z radości, pada na kolana przedemną... Jest on naprawdę moim drugim ja... Nie wyobrażam sobie pracy bez niego. Tak niezwykły umysł w połączeniu z taką energją, wytrwałością i entuzjazmem... Jego fanatyczna wprost wiara we mnie sprawiła, że mimo tylu zawodów, rozczarowań, błądzeń nie ustawałem w pracy i... dobrnąłem. Zwyciężyłem...

Dn. 24 marca...

...Helius jest społecznikiem... Jest to poniekąd odkrycie. Bezinteresowny, uciekający od sławy i zaszczytów, niejedno własne odkrycie podsuwający uczniom, nosi w sobie oprócz pasji naukowca jeszcze jedną wielką namiętność. Pragnie szczęścia ludzkości... Plan zastosowania mego wynalazku, rozmowa wczorajsza dała mi wiele do myślenia...

Dn. 25 marca...

...Nie mówiłem o tem jeszcze Heliusowi...

Ostatni ustęp notatki z dnia 24 marca, tudzież urywek z dn. 25-go, stał się punktem centralnym, na który skierowano cały nacisk śledztwa. Te słowa „między umarłymi" — bo przestrzeń, dzieląca Heliusa od grobu kurczyła się coraz bardziej — zawierały całą treść tajemnicy.

Jednak nic, oprócz tych słów nie rozświetlało mroków zagadki.

W piątym dniu śledztwa zbadano ponownie matkę Heliusa, która przesłuchiwana dnia 8-go kwietnia, odmówiła wszelkich zeznań.

Staruszka mieszkała w małym domku, zdala od traktu kolejowego i arteryj autobusowych pod Jaremczem, na granicy rumuńskiej. Obecnie przybyła z córką do Warszawy i zażądała audjencji u ministra sprawiedliwości.

Przyjął ją skwapliwie.

— Nic nie wiem i nic nie rozumiem, panie ministrze — mówi sędziwa pani — uspokój się, moje dziecko (zwraca się do młodej kobiety, która nie może powściągnąć łez) — spójrz na mnie, Alino, ja nie płaczę, wiem, że syn mój jest bohaterem, a matka bohatera nie płacze — nic nie wiem, powtarzam, panie ministrze, i nic nie rozumiem, ale tu są listy, jakie syn pisał do mnie ostatnio i one

J. NEVER

(Dalszy ciąg z Nr. 34)

Sprawa inżyniera Heliusa



może będą miały znaczenie dla wyjaśnienia tej okropnej sprawy. Wierzę, że wszystko co zaszło, było tragicznem nieporozumieniem i uważam, że obowiązkiem moim, jako matki Jana Heliusa jest przyjść z pomocą wymiarowi sprawiedliwości, gdyż w ten sposób jednocześnie przyjdę z pomocą synowi.

Minister skłonił się głęboko.

— Oto są listy...

Podała ministrowi paczkę listów, kreślonych pewną, mocną ręką Heliusa..

— Jak czuje się mój syn i kiedy go będę mogła ujrzeć? — pyta z tym samym cudownie bohaterskim spokojem matka oskarżonego.

— Syn pani jest słaby, ale są dane, iż wrótce przyjdzie do sił i wówczas — prawdopodobnie za tydzień będzie pani mogła się z nim zobaczyć.

— A wcześniej nie? — pyta matka.

Minister wstaje i mówi łagodnie lecz stanowczo:

— Nie mogę zgodzić się na to, aczkolwiek z całego serca współczuję Pani. Naprzód — lekarze nie pozwalają absolutnie nikomu zbliżyć się do niego, najlżejsze wzruszenie może pociągnąć za sobą groźne konsekwencje, a następnie — co równie ważne — interes państwa, a nawet ludzkości całej zabrania dopuszczenia do oskarżonego nawet najbliższej osoby...

— Pójdziemy, Alino. — Żegnam pana, panie ministrze...

Wyszły nie podając mu ręki.

Urywki z listów Jana Heliusa do matki.

Dwa ostatnie brzmiały, jak następuje:

22 kwietnia 1962 r.

Mateńko!

Czy pamiętasz rozmowy nasze — z dawnych, dawnych lat?

Czy pamiętasz wówczas — ja jako piętnastoletni chłopak — snułem przed Tobą marzenie, marzenie o szklanych domach Żeromskiego?

Czy pamiętasz, jak dyskutowaliśmy wówczas długo a gorąco na tarasie domku naszego, pod rozłożystemi gałęźmi śliwy — o szczęściu ludzkości, o poświęceniu i bohaterstwie?...

Czy pamiętasz, jak wówczas przyszliśmy zgodnie do wniosku, że tylko rozpęd niepohamowany a wspaniały wiedzy i techniki może ludzkość do owego utopijnego stanu szczęśliwości doprowadzić?...

Czy pamiętasz, jak mówiłaś mi wtedy, że jeden wynalazek czółenka takiego przeprowadził ludzkość z okresu gospodarki feodalnej do kapitalizmu i, że tylko nowy wynalazek — nie wojny — nie rewolucje — zdoła ludzkości inne drogi, szczęśliwsze bytowania wskazać?

— Pamiętasz, Mateńko?...

Ja pamiętam Twe słowa, jakby były dziś wypowiedziane, pamiętam, bo zapadły mi one głęboko w samo jądro duszy, a posiane zakiełkowały i wyrosły na glebie, przepojonej wstrętem dla wylewu krwi bratobójczej...

Rozpocząłem studja. Postanowiliśmy, że poświęcę się wiedzy ścisłej. Politechnika. Szczęście uśmiechnęło się do mnie. Powodzenie nie odstępowało odemnie. Dostałem się w sferę przyciągania jednostki genjalnej — profesora Merkla. Pocóż mówić — wiesz wszystko, jak było... Przez szereg lat pracowałem tylko naukowo, marzenia moje społeczne, w głębi duszy zataiłem, byłem suchy, zamknięty w sobie — aż wreszcie...

Szczęśliwy dzień nadszedł, Mateńko!

Mój genjalny profesor dokonał odkrycia, które wywoła wstrząsający przewrót w całej strukturze życia ludzkości. Wynalazek, którego doniosłość przechodzi wszystko, co wyobraźnia ludzka wyczarować potrafi!...

Kończę mój list, Mateńko, wkrótce wszystko Ci osobiście opowiem — czuję pełne szczęście w duszy!...

Dowidzenia, Mateńko —

Twój najszczęśliwszy syn

Janek.

List z dnia 6-go kwietnia...

Mateńko!

To jest potworne. Rozpacz dławi mnie tak, że nie jestem w stanie pióra w ręku utrzymać... Nie wiem jeszcze, jak postąpię, ale zrobię tak, jak mi sumienie nakaże...

Twój

Janek.

To były jedyne dwa listy, mające związek ze sprawą. Inne byśy ściśle prywatne: najszczersze zwierzenia o szczegółach życia młodego uczonego, o jego planach, nadziejach, zawodach i smutkach, wszystkie jednak świadczyły o głębokiej i czułej miłości syna do matki.

Minister skończył czytanie i pogrążył się w zadumie.

Śledztwo dobiegało końca.

Poza listami Heliusa do matki i kilkoma zdaniami z dziennika profesora Merkla, nie było w sprawie nic, coby mogło przyczynić się do rozwikłania zagadki.

Termin rozprawy sądowej wyznaczono na dzień 7-my maja 1962 r.

Tak szybki bieg postępowania należało przypisać w pierwszym rzędzie orzeczeniu lekarzy, którzy twierdzili, że życie Heliusa liczy się na tygodnie, a nawet na dnie.

Helius odzyskał przytomność, jednak w dalszym ciągu milczał.

Na tydzień przed datą rozprawy zażądał widzenia się z przewodniczącym Komisji Śledczej.

Minister Jarmont przybył natychmiast.

— Pan życzył sobie rozmowy ze mną?

— Tak jest, ministrze (głos Heliusa brzmiał bardzo słabo, ale wyraźnie) — chciałem oznajmić, że na procesie powiem

wszystko. Czas do procesu muszę zużytkować na rozmowę z samym sobą. Musiałem i muszę jeszcze raz przeprowadzić sąd nad własną duszą...

Głos chorego urwał się. Helius miał oczy olbrzymie, błyszczące niesamowicie, obłąkane...

Minister przeraził się.

— Więc, jeżeli Helius jest naprawdę obłąkany? Więc kradzież dokumentów była tylko i wyłącznie czynem szaleńca? Więc jeżeli tak, to największe dzieło ludzkości zginęło bezpowrotnie? Zostało zniszczone przez obłąkanego, czyli przez żywioł: zginęło, jak w pożarze, powodzi, lub trzęsieniu ziemi? — Ale przecież Helius był wpełni świadomości jeszcze dnia 6 kwietnia t. j. w dniu kradzieży? Obecny na konferencji pomiędzy profesorem Merklem a Prezydentem i Ministrem Sp. Wojskowych, kierował doświadczeniami podczas referatu profesora... Czyżby badanie metodą prof. Murray tak straszliwy wpływ wywarło na jego psychikę?...

— Czy ma mi pan jeszcze coś do zakomunikowania? — pyta minister.

Helius uczynił lekki przeczący ruch głową, spoczywającą bezwładnie na poduszkach.

Minister przygnębiony, wyszedł.

Owe cztery tygodnie śledztwa były jak przysłowiowa cisza przed burzą.

W pierwszych dniach maja owa burza zainteresowania rozszalała na dobre.

W najodleglejszych zakątkach globu komentowano zaciekle skąpe wiadomości, udzielane przez Polską Ajencję Radjową. Akt oskarżenia, ujawniony w dniu 2 maja dał pole do dyskusji wszystkim prawnikom świata. Zarzucał on mianowicie Heliusowi zdradę stanu (art. 125 Kodeksu Karnego Polskiego). Taka konstrukcja oskarżenia przewidywała karę śmierci, podczas gdy zakwalifikowanie czynu oskarżonego jako zwykłej kradzieży planów i dokumentów pociągnęłoby za sobą zaledwie karę więzienia. Gdyby stanąć na stanowisku faktów (wymowa tych faktów w danym wypadku była sprzeczna z logiką) konstrukcja zdrady stanu ostaćby się nie mogła: nic bowiem nie wskazywało na kontakt pomiędzy Heliusem a agentami państw obcych; rozbudowano więc jeden moment — działania na szkodę państwa, Helius wiedział bowiem, iż wynalazek prof. Merkla został zakupiony przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, i tu więź logiczna wypełniała luki faktyczne.

Zresztą postawienie Heliusa w stan oskarżenia za zwykłą kradzież dokumentów nie stałoby w żadnym stosunku do wyrządzonej przez niego państwu, społeczeństwu, i ludzkości szkody.

Reakcja psychiczna społeczeństwa była niezmiernie gwałtowna, poczucie prawne zbiorowości domagało się kary najwyższej — kary śmierci (która zresztą od 20 lat w żadnym kraju cywilizowanym stosowana nie była).

Tak czy inaczej, zagadnienie kary w stosunku do Heliusa było raczej kwestją teoretyczną.

W kołach lepiej poinformowanych szeptano, iż wątpliwem jest czy Helius przeżyje proces, a opinja profesorów medycyny i psychjatrji sądowej brzmiała, iż sąd prawdopodobnie Heliusa uniewinni, ze względu na niemożność poczytania mu czynu jego za winę (choroba psychiczna).

Jednak i w tym — jak i w innych podobnych wypadkach, kiedy osoba przestępcy w stosunku do ogromu przez niego wyrządzonej szkody maleje do rozmiarów torpedy, niszczącej całe miasto, płynącej po oceanie— Heliusem zajmowano się naogół mniej, aniżeli samym wynalazkiem profesora Merkla.

Przewidywano możliwości zastosowania wynalazku, snuto fantazje przyszłości, biadano nad czynem szaleńca, który cofnął ludzkość o setki wieków, atakowano rząd za niedostateczną ochronę bezcennych papierów, projektowano ustawę o służbie publicznej uczonych i wynalazców i t. p. i t. p.

Nową sensację wzbudziło oświadczenie Heliusa, iż nie życzy sobie rozmowy z wyznaczonym mu z urzędu obrońcą. To zadecydowało: uważano Heliusa niemal powszechnie za szaleńca.

W dniu 4 maja wpłynął wniosek prokuratora o zarządzenie tajności obrad. Sąd odłożył decyzję do dnia 6 maja.

(D. c. n.)

JADWIGA KIEWNARSKA.

Impresje wakacyjne

DANCING W KRYNICY.

Najprzyjemniejsza jest droga, zwłaszcza droga od Żegiestowa do Muszyny., wijąca się pośród zalesionych gór, odsłaniająca coraz to nowe nieraz niespodziewanie piękne widoki. Chłopskie dzieci, na widok przejeżdżającego auta machają przyjaźnie rączkami i krzyczą: — Daj cukierka!

Od Muszyny do Krynicy, okolica coraz bardziej płaska i monotonna. Zdaleka widać deptak, czarny jak mrowisko. Boże! Co tu ludzi!

Przy dźwiękach orkiestry, suną rytmicznie, głowa przy głowie, ku pijalni Karolówki i Zubera, niezliczone tłumy. Strojne panie, panowie o okazałych brzuszkach i wątłych nóżkach, staruchy i starowinki.

Przyjechaliśmy potańczyć, więc przeciskamy się przez mrowiący się tłum, kierując się w stronę kawiarni z dancingiem. Przy stoliku na tarasie siedzi pan minister Zaleski ze swą jasnowłosą małżonką, dystyngowaną jak angielska lady.

W dość ciemnej i niskiej sali, doskonała orkiestra (żydowska i warszawska) gra melancholijne tango. Na niewielkim, wolnym od stolików kwadracie posadzki, cisną się pary, jak kto umie i może. Nad zwartem morzem kłębiących się i falujących bezsilnie ciał góruje, gdzie niegdzie, jakieś obnażone i zgięte ramię sterujące rozpaczliwie do brzegu. Nie można nawet stwierdzić prawdziwości słynnego określenia współczesnych tańców przez Clémenceau: — Des visages qui s'ennuient et des derrieres qui s'amusent— gdyż z trudem można czasem w tłoku rozróżnić jaką twarz, znudzoną zaiste, a o reszcie niepodobna orzec czy się bawi, czy nudzi, gdyż wszystkie „reszty“ zwarły się w jednolicie drgającą masę, potwornego stonoga.

Ciasno jest i duszno. Wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemnej i zadymionej atmosfery, zaczynamy przyglądać się miejscowym typom. Kiedy ostatni raz byłam w



Krynicy, przed laty sześciu, pamiętam, że przeżywano tu straszliwą posuchę na mężczyzn. Rozrywanymi tancerzami byli wtedy stary, nieżonaty doktór i młody fryzjer, tańczący na gumowych podeszwach. Teraz znać znaczną pod tym względem poprawę, pełno tu młodych ludzi, dobrze, nawet bardzo dobrze tańczących i elegancko ubranych. Niektórzy z nich mają wąskie baczki w stylu hiszpańskich torreadorów i twarze „zrobione“ ciemnym pudrem. Trudno mi jest określić stanowisko społeczne tych panów, w chwilach wolnych od tańca. Jeden z nich, to tancerz zawodowy, ogłasza się nawet na plakatach wiszących na domu zdrojowym, obok „słynnej grafologini“ i naprawdę fenomenalnej recytatorki Kazimiery Rychterówny, wielkiej i niedocenionej w stolicy artystki. To jeden; a inni? Odczuwam nagłą radość, że nie mam na sobie ani przy sobie cennych biżuteryj, czy większej sumy pieniędzy.

— Zagranicą doszli już do tak doskonałej organizacji, że kiedy przyjeżdża do uzdrowiska samotna dama, zarządzający zapytuje ją, czyby nie pragnęła towarzystwa — opowiada nasz towarzysz.

— No i?... — No i przedstawiają jej przystojnego doskonale wychowanego młodzieńca, nieraz byłego oficera gwardji cesarskiej. Towarzyszy samotnej damie w wycieczkach, chodzi z nią na dancingi, do teatru, do restauracji. Odprowadza ją na dworzec z bukietem pięknych róż...

— Iii. — dostaje za fatygę, drobiazg, paręset lub kilkaset franków doliczonych do hotelowego rachunku. Kto wie! Może ci upudrowani na kremowo panowie, to właśnie wstęp do podobnie cywilizowanych zwyczajów w naszych zdrojowiskach!

— Oby jednak nie za dużo cywilizacji! Unikajmy przesady.

FELJETON O FELJETONIE

I INNYCH SŁOWACH, KTÓRE RÓD SWÓJ WIODĄ OD NAZWISK, NAZW RZEK I INNYCH.

Często używamy różnych słów, nie zdając sobie zupełnie sprawy z ich pochodzenia, lub, nie wiedząc, że wymawiamy nazwisko „ojca chrzestnego“ tego słowa czy określenia.

Gdy chłop udaje się na *jarmark*, napewno najmniej myśli o tem, że jest to słowo niemieckie, *Jahrmarkt*, napewno też niejeden z feljetonistów nie wie o tem, że *feljeton* nazwę swą zawdzięcza znanemu literatowi i pisarzowi francuskiemu *Feuillet*, który około 100 lat temu, pierwszy wprowadził ten rodzaj artykułów.

Sam Feuillet nie wiedział nawet, że pisze feljetony i rubrykę swą nazwał „pod linją“. Pod linją prowadził autor rozmowy z czytelnikami na najbardziej aktualne tematy dnia, zamieszczał krytyki, a czasem nowele lub krótkie powieści. Ten rodzaj przyjął się bardzo szybko i feljetony są dzisiaj niezbędnym działem każdej gazety. Niejeden feljeton możnaby napisać na temat pochodzenia wielu słów, które dziś weszły trwale do międzynarodowego słownika.

Ograniczamy się jednak do paru najciekawszych przykładów, a stosunkowo najmniej znanych.

*

W połowie zeszłego stulecia słowo *bojkot* nie było jeszcze znane. Pochodzenie swe zawdzięcza ono niejakiemu kapitanowi James *Boycott*'owi.

W roku 1875 kpt. Boycott opuścił szeregi wojska i wziął w dzierżawę kawał ziemi w Islandji, poczem z kolei oddał swe grunta w dzierżawę okolicznym chłopom, których dusił nad miernemi opłatami, ekzekwując przytem należności w niezwykle okrutny sposób.

Wówczas chłopi islandzcy ogłosili — mówiąc dzisiejszym językiem—bojkot kpt. Boycott'a. Do wszystkich okolicznych wsi wysłany został zakaz kupowania czegokolwiek u kapitana, jak również sprzedaży kawałka chleba czy miarki soli. Odmówiono koni do przewozu jego produktów, służba opuściła dom, pastuch — stada, a gdy w zabudowaniach kpt. Boycott'a wybuchł pożar, nikt nie ruszył nawet palcem, aby uratować dom od zagłady.

Kapitan James Boycott nie wytrzymał tego bojkotu i uciekł do Anglji.

*

Na *mansardach* paryskich domów wyrósł niejeden talent, niejedna sława Francji. Losy cyganerji artystycznej i literackiej zrosły się wprost z nazwą mansardy. Niewielu jednak wie, że imię jej nadał Jules *Mansard*, architekt nadworny Ludwika XIV, który wpadł na pomysł, aby strychy domów przerobić na lokale mieszkalne. Pierwsze mansardy wybudowane w okolicy Sorbony, zamieszkali przeważnie studenci i młodzi artyści.

*

Czy podziwiając piękne *gobeliny* zastanawialiśmy się kiedyś nad tem, że twórcą ich i zarazem ojcem chrzestnym był Jean *Gobelin*, pierwszy fabrykant tego rodzaju dywanów.

Czy wiemy, że słowo *sylwetka* pochodzi od imienia ministra skarbu Ludwika XV — Etienne *Silhuette*'a, który, w wolnych chwilach od zajęć państwowych, rysował z dużym artyzmem sylwetki swych znajomych i przyjaciół?

*

Są ludzie, którzy imię swe dali śmiercionośnej broni. Należy do nich m. in. John *Browning*, który trzy lata temu zmarł w Brukseli (rewolwery—*brauningi*), a także dr. Joseph *Guillotin*, twórca *gilotyny*, która po dzień dzisiejszy utrzymała się w Paryżu.

*

James *Lynch* był sędzią amerykańskim w stanie Wirginia. Żył w końcu XVIII wieku i zapewne przez chwilę nie przypuszczał, że imię jego przejdzie do historji i do... słownika. Jako sędzia znany był ze swej surowości: schwytanych przestępców sądził na miejscu zbrodni, lub tam, gdzie został schwytany.

Wyrok był zazwyczaj krótki: kara śmierci. Nieszczęsnych natychmiast wieszano na najbliższem drzewie. Ten sposób wyrokowania nazwano sądem Lynch'a, co przerodziło się później w *prawo lincza*, nadużywane — niestety — zbyt często w Ameryce przez sędziów-samozwańców.

*

Imię swe unieśmiertelnił również Jean *Nicot*, dyplomata francuski (zmarły w 1600 roku). Po powrocie z Lisbony, gdzie był posłem Francji przez szereg lat, przywiózł do Paryża pierwsze liście tytoniowe, zupełnie tam dotychczas nieznane. Stąd słowo *nikotyna* (trująca domieszka tytoniu), którą od tej pory zatruwa sobie płuca miljony Europejczyków. Moda palenia przyjęła się bardzo szybko. W czasach p. Nicot palacze zaliczali się do najszykowniejszych ludzi.

A propos słowa *szyk*. Do słownika trafiło ono w połowie XIX wieku, dzięki malarzowi francuskiemu, Antoine *Schick*'owi. Był on ulubionym uczniem malarza Louis David'a (1778—1852), który stawiał go często jako przykład dla młodych adeptów sztuki malarskiej. Przeglądając ich prace, zwykle powiadał:

— To nie jest Schik. On by inaczej to namalował!

— Prawie tak dobre, jak Schik'a.

Pisano o tem w gazetach, powtarzano w atelier malarzy, salonach, aż słowo szyk stało się powszednlem.

*

Wiele nazwisk wielkich uczonych przeszło również do słownictwa, jako terminy naukowe. Dość wspomnieć *Celsjusza*, *Reaumura*, *Ampera*, *Volta* i w. in.

*

A teraz trochę z innej dziedziny. Czy Panie wiedzą, że *adamaszek* pochodzi od nazwy miasta *Damaszku*, gdzie po raz pierwszy zaczęto go fabrykować, a *muślin* od miasta *Mossul*, gdzie wyrabiano go na długo przed tem, nim dotarł do Europy?

Poszukajmy więc dalej. *Madepolam* oznacza wyrób polski — „*Made in Poland*“, tafta zaś pochodzi z perskiego i oznacza przędziwo. *Satyna* pochodzi z łacińskiego *seta* (szczeć), potem jedwab, z czego Francuzi utworzyli swoje satin.

Brokat ma swój źródłosłów we francuskiem *brocher* — haftować, a *welwet* w łacińskim *villius*, co znaczy kosmaty włos.

Tak modny ostatnio *tweed* wywodzi się z fabryk tkackich, leżących nad rzeką *Tweed*, na pograniczu Anglji i Szkocji.

Humor plażowy



— Jakiś ty mało pojętny! Nawet twój syn nauczył się pływać — a ma dopiero 20 lat.... *(„Candide“)*

Plaże nad morzem Śródziemnem

NERVI.

Wybrzeża morza Śródziemnego różnią się zasadniczo od Adrjatyku. O ile nad tym ostatnim plaże są piasczyste i nieskończenie długie, o tyle brzeg morza Śródziemnego, skalisty, poszarpany, nierówny, przedstawia się nad wyraz romantycznie.

Najbliższą nas i niewątpliwie najpiękniejszą miejscowością nad morzem Śródziemnem jest Nervi.



Położone bardzo blisok, bo o 9 kilometrów od wielkiego miasta i wielkiego portu, Genui, uważane jest administracyjnie za jego przedmieście. Zachowało jednak wiejską prostotę, przepyszne powietrze i przepiękną przyrodę. Góry je okalające tworzą pierścień naturalny, a tak są wyłamane, że na każdym kroku dają mnóstwo niespodzianek i nieoczekiwanych pejzażów. Porosłe gęsto oliwkami o szarym, jakby opylonym kolorycie, tworzą przecudny kontrast z szafirem nieba i modrością morza. Wzdłuż morza wisi taras skalny, długości kilku kilometrów, zwany *Passeggiata a mare.*

Wąskie, tajemnicze ścieżki, prowadzą od morza wgłąb kraju. Krąży tu wiele legend o burzliwych dziejach kraju, o napaściach piratów, odpieranych mężnie przez miejscowe rody walecznych baronów.

W jednem z siedlisk dawnej arystokracji, willi Gerra, obecnie na park miejski zamieniony, widzimy najrzadsze okazy flory egzotycznej: palmy wysokości sosen, wywodzące pochodzenie z Afryki i Ameryki; kamelje, wielkie, jak nasze leszczyny, obsypane białemi, różowemi i pąsowemi kwiatami; róże, mimozy, pomarańcze, cytryny, złocące się owocem. Klimat Nervi, nadzwyczaj łagodny, czyni z niego ulubione miejsce klimatyczne zimą, a kąpielowe latem.

Nervi nie posiada aroganckiego przepychu Nizzy i Ostendy. Przypomina raczej piękną kobietę, która czaruje nietyle urodą, ile wdziękiem, i dla której nieświadomie można głowę stracić.

Dodać należy wiadomość, nas szczególnie interesującą, że przed laty zażywał tu wczasów Henryk Sienkiewicz i że kilka słów, skreślonych Jego ręką, przechowuje z pietyzmem tutejsza Azienda Autonoma, t. j. jakby u nas powiedziano, zarząd kąpieliska. *Marion.*



„Passeggiata a mare" — kilkukilometrowy deptak nad brzegiem morza w Nervi.



Park publiczny o afrykańskiej roślinności.

Przyjaciołom prohibicji

(film Johansena, wyobrażający poczciwego pijaka)



TRZCIŃSKA-KOTERBINA.

„Burza nad Mont-Blanc" — sensacyjny film lotniczy

(Wywiad ze znakomitym lotnikiem-alpinistą Udetem).





Epizody z filmu „Burza nad Mont-Blanc" (3300 m.)

Wszyscy chyba bywalcy kin w Polsce znają film „Białe piekło", wyświetlany u nas minionej zimy. Sensacyjny ten obraz, wyreżyserowany ze specjalną tendencją pouczenia niedoświadczonych turystów-alpinistów o niebezpieczeństwie, jakie im grozi przy zbyt lekkomyślnem wdzieraniu się na niedostępne szczyty wiecznych śniegów, wzbudził olbrzymie zainteresowanie zarówno niezrównanemi wprost zdjęciami szczytu *Piz-Palu*, jak i niebywałą akrobacją powietrzną lotnika *Udeta*.

Ewolucje, czynione przez Udeta na płatowcu, o silniku słabej mocy („Siemens-Halske" 85 KM) i nad terenem tak niedostępnym, iż konieczność lądowania groziłaby niechybnie katastrofą — są tak brawurowe, iż śledziło się je z zapartym oddechem. Jest tam chwila, gdy *Udet*, szukający zaskoczonych na Piz Palu śnieżną zawieją turystów, czyni tuż-tuż, nad tym niedostępnym i groźnym szczytem t. zw. „skręt Immelmana". Jest to ryzykowny skręt płatowcem w tył, czyniony zazwyczaj na pewnej wysokości, a nie tuż, nad najeżonym, ostrym szczytem, grożącym lada chwila zgubą.

Brawurowa ta i z „jubilerską" precyzją wykonywana akrobacja, wywołała u mnie rzetelny podziw dla Udeta i gdy traf zrządził, iż udało mi się poznać osobiście w Berlinie znakomitego lotnika podczas uroczystości, związanych z Międzynarodowym Lotem Okrężnym, skierowałam bezzwłocznie rozmowę na temat „Białego piekła".

— Jeśli panią interesują loty nad Alpami i Mont-Blanc — mówi z ożywieniem Udet — to obecnie nakręca się film, który będzie o wiele ciekawszy od „Białego piekła". W filmie tym biorę bardzo czynny udział, gdyż nietylko czynię wielokrotne wzloty nad *„Glacier du Triant"* (Mont-Blanc), lecz i reżyseruję całą jego techniczną, lotniczą stroną. Obraz ten będzie miał wspaniałe zdjęcia mojej akrobacji, czynionej nad Mont-Blanc, robione przez operatora, *lecącego na drugim płatowcu*, czego nie było w „Białem piekle", gdzie nakręcano moje loty z dołu".



Lotnik Udet (karykatura własna)

— Czy pan i do tego filmu używa swego ślicznego, czerwonego dwupłacika *„Flamingo"*, na którym pan nam takie rzeczy przed chwilą pokazywał, iż uwierzyć nieomal trudno, że to... tylko maszyna?"

— Ach, nie! Na ten raz zdradziłem swego wiernego towarzysza, na którym latam od lat pięciu we wszelkich możliwych pozycjach: bokiem, głową na dół, głową do góry i t. d. i nakręcam nowy obraz na dolnopłacie systemu „Klemm".

— Ależ „Klemm" jest coprawda doskonałym płatowcem sportowym, lecz ma słaby, zaledwie 40-konny silnik „Salmson", więc cóż pan zrobi, jeśliby motor zawiódł znienacka... naprzykład nad *„Glacier du Triant"?*

„Sytuacja byłaby trudna — mówi z uśmiechem znakomity pilot — mam nadzieję jednakże, że tego uniknę. Zresztą — *niebezpieczeństwo nigdy nie przychodzi z tej strony, skąd się go spodziewamy...*

Co do Alp — znam je świetnie! Żyłem się z niemi od najmłodszych lat, mając częstą ku temu sposobność, gdyż urodziłem się i wychowałem w Monachjum. Właśnie dzięki temu, że Mont-Blanc i ja jesteśmy z sobą bardzo poufali, udało mi się już *osiem razy wylądować na nim!"*

— Jest pan więc dosłownie „alpinistą powietrznym!" A czy można wiedzieć, od ilu pan lat poświęca się najpiękniejszemu sportowi — lotnictwu?"

— Od r. 1909. Miałem wtedy lat trzynaście i począłem namiętnie ćwiczyć się w lotach szybowych, lub—ściślej mówiąc—ślizgowych, na rodzaju latawca mojej konstrukcji.

— Konstrukcja lotnicza zajmuje pana również i teraz, gdyż „Flamingo" był zbudowany przez pana?

Udet robi żartobliwo-ironiczny-grymas:

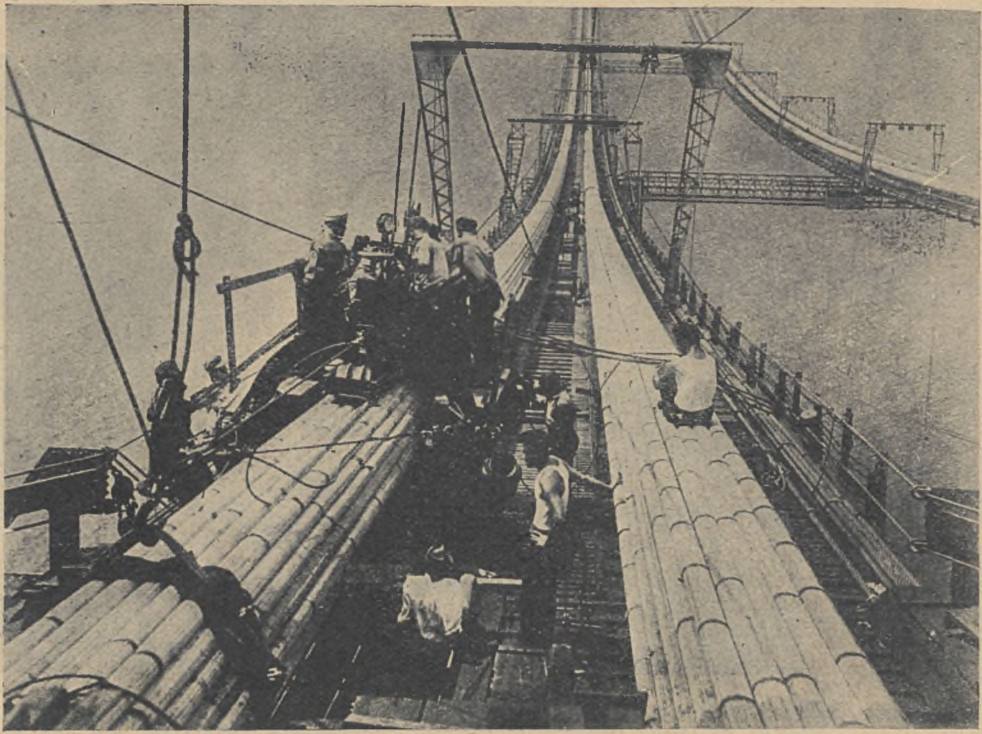
„Z konstrukcją i fabrykami skończyłem, na szczęście! To stanowczo nie dla mnie. Mój żywioł — to latanie i różne, techniczne ulepszenia w moim „Flamingu", a w chwilach wolnych — robienie karykatur, najchętniej mej własnej osoby.

— Karykatury są świetne! A jak nazywać się będzie ów film, nad którym pan pracuje?

— *„Burza nad Mont-Blanc"*.

Okładkę projektował Jerzy Radlicz

TO, TAMTO I OWO



Obecne stadjum prac przy olbrzymim moście nad Hudsonem.

JESZCZE JEDEN.

Proszę się nie przerażać! Chodzi tylko o zdanie, w którem kilka razy powtórzy się słowo automat.

Otóż w epoce automatów, kiedy człowiekowi grozi zupełne zautomatyzowanie, cóż znaczy jeszcze jeden?

Wobec wieczności — nic, a człowiekowi, szczególniej w Polsce, ułatwiłoby w pewnej mierze życie: oszczędziłoby dużo biegania i przykrości. Mieszka kto, dajmy na to — na Lesznie, zdarza mu się napisać wieczorem pilny list, a nie ma znaczka. Może go szukać ze świecą po wszystkich budkach inwalidzkich — nie pozostaje nic innego, jak gnać na Chmielną, lub jeśli po 10-tej wieczorem — na dworzec: w „Ruchu" zpewnością znaczek się dostanie. Też tylko do północy, a co później? Czy nie przyjemniej byłoby dojść do automatu przy *każdej* skrzynce od listów, wrzucić odpowiednią monetę i dostać znaczek *tym sposobem* na każdym rogu o każdej porze?

Powie ktoś, że to u nas w Polsce, szczególniej w Warszawie, niebardzo pewne, że trzebaby przy każdym automacie postawić policjanta. Trudno, nie jesteśmy w Holandji, gdzie nawet rowerów nie kradną. W tem rzecz, by taki automat odpowiednio skonstruować, bo dotychczas nie istnieje.

GODŁO „TIMES'A".

Angielski urząd heraldyczny nadał wydawnictwu „Times'a" prawo umieszczania godła. Ma ono symbolizować czynności prasy i przedstawia ramię z pękiem błyskawic, dwa skrzydlate konie z gałązką dębową oraz laskę Merleura. Motto godła utrzymanego w kolorach złotym, srebrnym i czerwonym brzmi: „Templus Fuit Est Et Erit".

„JAK DUCH BOŻY PONAD WODAMI"...

Właściciel światowej marki fabryki obuwia zaniemógł wskutek przepracowania, lekarze, jako jedyny środek, zarządzili bezzwłoczny wyjazd do miejscowości górskiej. Niezwykle jednak ożywiona konjunktura nie zezwoliła fabrykantowi opuścić w tym czasie swych zakładów. Znalazł wyjście: zamawia olbrzymich rozmiarów balon, w gondoli którego umieszcza swe biuro.

Dziś z wysokości 1.000 metrów przy stuku maszyn do pisania, dźwięku dzwonków i telefonów, fabrykant kieruje jak dawniej swemi zakładami, używając równocześnie „górskiego" powietrza.

HOŁD DLA HUMORU.

Rada miejska w Paryżu postanowiła oddać jedną salę w „Palais Royal" wyłącznie na zbiory dzieł znakomitych współczesnych karykaturzystów francuskich. Uchwała ta nastąpiła naskutek interwencji prefekta Sekwany, który twierdzi, że jest rzeczą doniosłej wagi kolekcjonowanie dzieł wybitnych karykaturzystów doby obecnej. Epoka nasza, twierdzi prefekt Sekwany, obfituje bardziej niż jakakolwiek inna w utwory z zakresu humoru i satyry, i będą one poszukiwane i cenione przez naszych potomków, w równej mierze, jak dzieła ich słynnych poprzedników, jak: Gavarni, Daumier, Doré i wielu innych. Sztuka podpatrywania i utrwalania w sposób żartobliwy i dowcipny charakterystycznych cech ludzi lub sytuacyj, jest rzeczą wielkiego talentu, który zasługuje całkowicie na gorące poparcie i troskliwą opiekę. Karykatura opiera się na współczesności i jest ściśle związana ze środowiskiem, z którego powstaje, a więc podlega prawu znikomości czasu, lecz ponad aktualnością góruje nieprzemijający nigdy geniusz artysty.

Należy zatem skrupulatnie zbierać najciekawsze dzieła wybitnych karykaturzystów i wzbogacić niemi sztukę francuską.

Tak mówi prefekt Sekwany... My zaś od siebie dodać możemy, że dobrzeby było, gdyby i nasi liczni utalentowani karykaturzyści znaleźli tego rodzaju opiekę i poparcie, gdyż należy im się słusznie zaszczytne miejsce w dorobku sztuki rodzimej.

NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ BIBLJOTEK MAJĄ NIEMCY.

Jak wynika z ostatniej statystyki, na całym świecie jest ogółem 1038 bibljotek publicznych z imponującą cyfrą 181 miljonów książek. Z tych Niemcy posiadają 100 bibljotek z ogólną liczbą 29,6 miljonów tomów, Francja 19,8 miljonów. Największą bibljoteką świata jest Bibliotéque Nationale w Paryżu, której księgozbiór wynosi 4,5 milj. tomów, drugie miejsce przypada państwowej bibljotece w Petersburgu — 4 milj. tomów.

Bibljoteka British Museum uważana dotychczas za największą, zajmuje 3-e miejsce.

OD REDAKCJI

Proszeni jesteśmy o zamieszczenie nast. notatki:

W związku z umieszczoną w Nr. 32 pisma ilustrowanego „7 dni" fotografją syna mego, Ignacego — podaję do wiadomości, że wszelkie jego sprawy zakończone zostały całkowitem umorzeniem postępowania karnego, na podstawie ekspertyz psychjatrycznych, że obecnie opuścił on po dłuższej kuracji Sanatorjum, jako wyleczony i że wszczęte zostały starania w kierunku wykreślenia syna mego z wszelkich rejestrów karnych.

(—) Markus Eisenberg.

Czytelnicy nasi na wywczasach



Mały Jędruś R... „pracuje" na plaży w Jastarni.



Dużo słońca i powietrza. Rozumie to najmłodszy obywatel Rzeczypospolitej. Twarzyczkę rozjaśnia uśmiech szczęścia i zadowolenia, zwłaszcza, gdy nad bezpieczeństwem jego czuwa wilk, wierny stróż i obrońca. (fot. R. Głowacki).



Nie tylko zagraniczne „girlsy" ćwiczą na plażach, ale nasze Czytelniczki, pp. Mieczysława K... i Ziuta B... próbują w Orłowie „gibkości" mięśni.



Pozdrowienia z cudnej Gdyni dla Czytelników i Red. „7 Dni" przesyła Zosia P... z Katowic

MILI CZYTELNICY!...

Przebywając na letnich wywczasach w różnych zakątkach kraju i zagranicy, z pewnością fotografujecie.

Chcemy Was poznać, chcemy nawiązać z Wami kontakt, żyć Waszem życiem, radować się Waszem szczęściem.

Nadsyłajcie fotografje, które w miarę możności zamieszczać będziemy na naszych łamach. No, a jeśli ktokolwiek dopisze feljeton — oczywiście, że dobry — znajdzie również gościnę w naszem piśmie.

REDAKCJA.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.